Nr. 146. Lwów — Środa dnia 28 Czerwca. **Rok 1893**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 2.
„ przy ul. Słowackiego (obok łaz. D. Ry)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Niżałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1.10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3.— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.

Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś:	św. Leona II Pap.	Tychona	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**	Wschód słońca g. 4 m. 8	Długość dnia g. 15 m. 49
Jutro:	św. Piotra i Pawła	Manuiła M.			Zachód „ „ 7 „ 57	Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 27 czerwca.

Podczas sprawy panamskiej wciągano do błota coraz nowych ludzi, wcale nie krępując się względami na sprawiedliwość. Była to walka stronnictw, wojna domowa, w której jednak strzelano nie kulami, lecz kałem. W takich zapasach zawsze zwyciężyć musi ten, kto ma grubszą skórę i bardziej miedziane czoło, a oprócz tego rozporządza fizyczną siłą. Dlatego też rządzące stronnictwo przetrwało wszystkie pociski i zmusiło przeciwników do ustąpienia z pola. Ale ci pokonani nie dali za wygranę — i gdy teraz zapomniana już przez wszystkich parlamentarna komisya dla sprawy panamskiej złożyła swe ostateczne sprawozdanie, w którem utrzymuje, że winnych absolutnie nie było między deputowanymi, znowu wystąpiło stronnictwo bulanżerskie z nowymi zarzutami, jeszcze mniej uzasadnionymi, niż wszystkie w skandalu panamskim. Tu znowu nie idzie o moralność publiczną, o prawdę i sprawiedliwość, jeno wyłącznie o pohańbienie rządzącego stronnictwa w oczach wyborców, którzy pójdą do urny za dwa miesiące. I metoda walki jest ta sama: coraz nowi ludzie wciągani są do błota, przyczem szkalownicy widocznie rozumują tak, że koniec końców coś z tych błotnistych pocisków przystanie i utrzyma się aż do wyborów. Ta nowa wojna domowa tak się przedstawia:

Jakiś mulat, zapewne więc pół francuz, pół murzyn Norton, pełniący podrzędną służbę w ambasadzie angielskiej, sprzedał bulanżystom dokumenta, skradzione jakoby w ambasadzie, a składające się z odpisu listów wysokiego urzędnika w londyńskiem ministeryum spraw zagranicznych, p. Listera, do jakiegoś tajnego agenta Austina Lee'go. W tych listach są różne wzmianki o francuskich deputowanych, jak np. o Clémenceau, — wzmianki pozwalające przypuszczać, że ci deputowani byli na żołdzie tajnego agenta Lee'go. Ale same te listy są w wysokim stopniu niedorzeczne i o autorze ich tak dosadnie świadczą, jako o człowieku bez żadnego wykształcenia politycznego, że można byłoby dziwić się lekkomyślności bulanżystów, kupujących taki tandetny wyrób, gdyby nie to, że im zależało jedynie na zrobieniu skandalu. Tak naprzykład 15 maja pisze p. Lister do Lee'go: „Cesarz Wilhelm zawarł w Rzymie traktat z królem Humbertem; na mocy tego układu Włochy po wybuchu wojny obowiązały się zająć Tunis i Algier. Cesarz Wilhelm wkrótce pojedzie do Hiszpanii i zaproponuje regentce przystąpienie do trójprzymierza, za co ofiaruje jej zabór po wojnie części południowej Francyi." Albo znów w liście z 22 kwietnia pisze: „Jeśliby sułtan zaczął działać podług wskazówek z Petersburga i Paryża, to my natychmiast zajmiemy tureckie ziemie nad morzem Czerwonem, aby zaś uspokoić naszych indyjskich muzułmanów utworzymy w Mekce rodzaj Kalifatu.... Komunikuję panu, że niemieckie pieniądze idą teraz do Belgii, w której monarchia zapewne upadnie. Na ten wypadek Niemcy przygotowują dla siebie okupacyę tego kraju. Nasz rząd jest nadzwyczajnie rozgniewany na tę politykę niemiecką. Królowa wystosowała list do cesarza Wilhelma z zapytaniem, co znaczy ten nowy zabór. Cesarz dotąd nie odpowiedział". — Z podobnie dzikich konceptów składają się wszystkie listy, jeden z nich zawiera nawet tak idyotyczną wiadomość, że „car zamierza zerwać traktat San-Stefański, co grozi wybuchem wojny wschodniej" — a we wszystkich tych listach są wzmianki o deputowanych francuskich. Można tedy przypuszczać, że ci deputowani wiedzieli o zamysłach niemieckich i angielskich szkodliwych dla Francyi, a jednak milczeli, są więc zdrajcami. Pomimo śmiesznie niedorzecznej treści tych listów, bulanżyści kupili je u Nortona. Pośredniczył główny redaktor bulanżerskiego dziennika *La Cocarde*, p. Ducret, a pieniędzy dostarczył dep. Millevoye, dał mianowicie już 10.000 franków, 30.000 obowiązał się dać wtedy, gdy parlament uzna listy za prawdziwe i zarządzi śledztwo, a 60.000 po należytem przeprowadzeniu skandalu. Wiadomo jednak, co się stało: parlament wyśmiał te dokumenty, rząd natychmiast aresztował Nortona i Ducreta, Millevoye oświadczył, że składa mandat, chociaż dotąd tego nie uczynił, widocznie dlatego, aby go nie uwięziono, wreszcie Déroulède opuścił izbę i rzekł, że do niej nie wróci. Tak skandal chybił, więc część bulanżystów poczęła się cofać, mianowicie frakcya reprezentowana przez *Intransigeanta* wyparła się udziału. Rochefort z Londynu doniósł temu dziennikowi, że był u p. Listera, który powitał go słowami: „Zanosimy się od śmiechu nad piramidalną głupotą tych fałszerstw!" Dalej Rochefort pisze: „Na pożegnanie podał mi p. Lister rękę, która — ręczę honorem! — była pusta".

Zdawałoby się tedy, że sprawa skończona. Fałszerz siedzi w policyjnem więzieniu i podobno już się przyznał do winy. Jego lekkomyślny wspólnik Ducret także pokutuje za kratą. Obaj oni są oskarżeni o rozpuszczanie fałszywych pogłosek i oszczerstw. Tymczasem sprawa bierze inny obrót, również niezawodnie oszczerczy, ale już wymierzony przeciw Constansowi i tym umiarkowanym republikanom, którzy podnieśli hasło zgody z monarchistami pojednanymi z republiką. Constans i jego zwolennicy byli strasznie niebezpieczni rządzącemu obozowi i gabinetowi Dupuy, bo hasło pojednania i umiarkowania mogło im dać zwycięstwo przy wyborach, wyniosłoby na czoło kraju Constansa, obaliłoby radykałów i oportunistów razem z Carnotem. Trzeba więc skompromitować Constansa, Piou, hr. de-Mun i wszystkich innych umiarkowanych republikanów, oraz pojednanych monarchistów. Rozpuszczono tedy wiadomość, że fałszerz dokumentów wrzekomo angielskich Norton stał w rzeczywistości na usługach Constansa i jego zwolenników; że mianowicie agitacyjnym agentem Constansa jest jakiś egzotyczny hrabia Cesti, który był ogniwem pośredniczącem między Constansem a wodzem chrześcijańskich socyalistów margrabią de-Morès. Ów hr. Cesti, działając z ramienia umiarkowanych republikanów, monarchistów i katolickich demokratów, za ich wiedzą i zezwoleniem wszedł w stosunki z Nortonem, pomógł mu ułożyć fałszywe listy p. Listera i sprzedać je bulanżystom, którzy w ten sposób działali w interesie Constansa. On tedy jest głównym winowajcą i jego trzeba ścigać. Oczywiście taki obraz dali tej sprawie członkowie rządu i jego zwolennicy, oni również rozporządzają sądami i policyą, mogą tedy sprawę gmatwać. Z tego właśnie powodu ów nowy skandal zapowiada się niebezpiecznie. Zapewne jednak w ostatniej chwili nastąpi porozumienie za kulisami i całej historyi będzie kark skręcony.

Mieszkania naszych uczniów.

Kwestyonarz krajowej Rady szkolnej z d. 7 października 1892, ogłoszony w dziennikach i rozesłany do wszystkich szkół średnich, poruszył sprawę pierwszorzędnej wagi dla naszego szkolnictwa, wzywając grona nauczycielskie do zastanowienia się nad szkodliwymi wpływami, które działają na młodzież p o z a s z k o ł ą, a w szczególności nad t. zw. „stancyami."

Do niedawna jeszcze było dosyć rozpowszechnione w kołach nauczycielskich zdanie, że szkoła nie potrzebuje troszczyć się o życie domowe uczniów, że stósowne ich pomieszczenie jest rzeczą rodziców, a szkoła nie ma ani prawa ani obowiązku zajmować się tą sprawą. „Nauczyciel jest na to, żeby czegoś nauczył i postępy swoich wychowanków oceniał; nie można żądać od niego, żeby w nielicznych swoich godzinach wolnych śledził jeszcze uczniów, czem zajmują się w domu, jakich szukają rozrywek i jakim ulegają wpływom. Dyrektor przepędza cały dzień w zakładzie i obarczony jest pisaniną; nauczycielom zabiera wiele czasu poprawianie zadań, częste konferencye, a w wielu wypadkach (zwłaszcza w wielkich miastach) i lekcye prywatne, których udzielać muszą dla pomnożenia szczupłych dochodów; suplenci mają nadto jeszcze i egzamin na głowie, a zresztą aż nazbyt często zmieniają miejsce pobytu. Niech tylko każdy zadanie swoje spełnia należycie w szkole, niech utrzymuje karność, niech dobrze uczy i klasyfikuje, niech nie przepuszcza próżniaków i niedołęgów, a co uczniowie robią poza szkołą, o to niech dbają ich rodzice i odpowiedzialni dozorcy!" — Takie głosy odzywają się często, a praktyka stosuje się do nich w większej części naszych zakładów.

Jeżeli jednak zważymy, ile złego dzieje się po stancyach, jak tam nieraz starsi psują i gorszą młodszych, ile talentów odwodzi od pożytecznej pracy złe otoczenie, jaka jest cała atmosfera moralna, wśród której wzrasta ogromny zastęp młodzieży, musi nasunąć się nam wątpliwość, czy owo zdanie jest zupełnie słuszne? Prawdą jest, że szkoła nie może przyjąć na siebie obowiązków domu rodzicielskiego i bezustannie czuwać nad powierzoną sobie młodzieżą, że rodzice powinni starać się o zapewnienie swym dzieciom należytej opieki i dozoru, jeżeli nie mieszkają w miejscu, sądzimy jednak, że i w tym względzie możemy zrobić cośkolwiek a nawet wiele dobrego, nie biorąc na siebie nadmiernego ciężaru. Rodzice naszych uczniów nie należą (pominąwszy bardzo nieliczne wyjątki) do klasy zamożnej i oświeconej, nic zatem dziwnego, że nie powierzają ich osobom wykształconym i posiadającym wszelkie pożądane dla szkoły przymioty, ale ludziom bardzo ubogim, najczęściej wdowom, które ich przyjmują „na wikt i stancyę" za bardzo skromnem wynagrodzeniem. W Tarnowie np. utrzymuje wielu wieśniaków w taki sposób swoich synów w gimnazyach (i w innych zakładach), że dowożą im żywność, a gospodyni płacą po 1 złr. 50 ct., po 2 lub 3 złr. miesięcznie; w izdebkach ciasnych, niskich i wilgotnych mieści się po 4, 6 i 8 takich konwiktorów, żywiąc się strawą jak najprostszą, a zarazem dając jakiś sposób do życia biednej gospodyni swojej, której głównem jest staraniem utrzymać jak największą liczbę „panów studentów" i niczem ich sobie nie zrazić; o właściwym „dozorze", o zniewalaniu do nauki, o wpływie wychowawczym nie ma naturalnie najczęściej mowy. Z gimnazyum tarnowskiego zebraliśmy cyfry bardzo wymowne: na 222 uczniów, mieszkających po stancyach, reprezentują „nadzór" wdowy i kobiety niezamężne u 120; rzemieślnicy, woźni itp. u 80-ciu, a tylko 22 mieszka u urzędników i nauczycieli szkół ludowych, którzy dają lepszą rękojmię starannego dozoru*). Podobne stosunki znajdziemy wszędzie, z tą chyba różnicą, że po wielkich miastach jeszcze są daleko gorsze, niż w mniejszych, w których grono nauczycielskie prędzej może się dowiedzieć o niejednem zgorszeniu i wykroczeniu.

Nie jest więc z pewnością rzeczą obojętną dla szkoły i dla całego społeczeństwa, co dzieje się po stancyach i w jakiem otoczeniu domowem dorasta nasza młodzież. Nie trudno jest, stosunkowo, utrzymać karność wewnętrzną i wymusić zachowanie się legalne wobec nauczycieli, nie trudno też podnieść cały poziom nauki za pomocą ścisłej i wolnej od niewłaściwych względów klasyfikacyi (co już poniekąd się stało), ale jakaż dla nas pociecha z tego rezultatu, jeżeli przekonywamy się w ostatnich latach nauki, albo po egzaminie dojrzałości, że niejeden uczeń, na pozór przyzwoity i spokojny, upadł bardzo nisko moralnie i że jego życie domowe wcale nie świadczy o dobrem wychowaniu i czystości obyczajów, — jeżeli okaże się dowodnie przy nadarzonej sposobności, że tylko potrafił ukryć przed nami brak zasad religijnych i szlachetnych, brutalność i dzikość swojego umysłu? Że ostatecznym celem szkoły musi być uszlachetnienie jej wychowanków, na to zgadzamy się wszyscy, równie jak i na to, że w wielu wypadkach stosunki domowe tamują naszą działalność: oczywiście więc wypada obejrzeć się za środkami, któreby choć w części złemu zdołały zaradzić.

Po 1) Trzebaby zdaniem naszem lepiej wyposażyć i rozszerzyć istniejące już bursy i postarać się o założenie nowych. Chociaż bowiem nagromadzenie większej liczby młodzieży w jednym domu nie jest wolne od rozmaitych niedogodności i niebezpieczeństw, przecież doświadczenie wykazuje, że gdzie bursa ma dobre kierownictwo, wyróżniają się jej wychowańcy bardzo korzystnie od swoich współuczniów. Młodzież potrzebuje dozoru, a szczególnie potrzebują go dzieci; ciągła więc opieka, która porządkuje cały ich sposób życia, wyznacza im czas nauki i odpoczynku, usuwa przeszkody do pracy i t. p., jest dla nich wielkiem dobrodziejstwem; starszym można i trzeba użyczyć pewnej swobody i byłoby błędem, gdybyśmy chcieli młodzieńców już dojrzewających zarówno prowadzić na pasku, jak ich najmłodszych braciszków. Nie małe tu jednak nastręczają się trudności: nie można żądać od przełożonego, żeby ciągle sam czuwał nad wszystkimi mieszkańcami bursy i byłoby to nawet niepodobieństwem, kiedy ich jest kilkudziesięciu, kiedy pracują w kilku pokojach i śpią w kilku sypialniach, powierza się więc starszym dozór nad młodszymi (jak i po stancyach czynić kazała nasza komisya edukacyjna). Czyż jednak można bez obawy zaufać młodzieńcom, nie posiadającym jeszcze najczęściej zasad i charakteru ustalonego, że spełniać będą należycie zadanie, którego nieraz starsi spełniać nie potrafią? że będą mieli dosyć powagi i sumienności, że będą ściśle przestrzegali porządku i bezstronnie zdawali sprawę z popełnionych wykroczeń? Zdaje nam się, że nie bez słusznej przyczyny usunięto ze szkół t. zw. „cenzorów", że uczeń będzie chyba wyjątkowo dobrym dozorcą młodszych, a jeszcze rzadziej równych mu wiekiem kolegów. Z drugiej jednak strony jest niewątpliwie rzeczą bardzo pożądaną, — żeby starsi uczniowie wspomagali kierownika zakładu, żeby odwodzili dziatwę od wybryków, żeby nie taili występków gorszących. Należy więc wpajać we wszystkich przekonanie, że nie powinni wprawdzie nikogo oskarżać z pobudek nieszlachetnych i samolubnych, że nie powinni być „donosicielami" że jednak miłość bliźniego wkłada na nich obowiązek, tamować zepsucie, upominać zbłąkanych i starać się o ich poprawę, a więc w pewnych wypadkach, kiedy ich upomnienia nie odnoszą skutku, uwiadomić przełożonego o występkach swoich kolegów. Właściwy więc i ciągły (ile możności) dozór, musi wykonywać sam przełożony; może jednak żądać od wszystkich, a szczególnie od starszych, żeby czuwali nad zachowaniem się drugich i uczynić w każdej sali i sypialni jednego odpowiedzialnym za wykroczenia, któreby tam popełniono za jego wyraźnem lub milczącem pozwoleniem, przyczem powinien ciągle przekonywać się czy ów „cenzor" okazuje się istotnie godnym zaufania. Chłopcom już dorastającym (t. j. dochodzącym do 15 lub 16 roku) można już cokolwiek więcej pozwalać, niż młodszym, nie spuszczając ich jednak z oka, o tyle, żeby przełożony zawsze wiedział, gdzie są i co robią, na jakie upadki naraża ich swoboda, której przecież prędzej czy później zażywać będą; ład i karność, panująca w koszarach, nie zgadza się z celem zakładów wychowawczych, które uwzględniać powinny rozmaitość usposobień i skłonności i stopień rozwoju duchowego każdej jednostki.

Dyrektor więc bursy podejmuje się obowiązku ciężkiego i nie spełni go należycie, jeżeli nie odznacza się wielkiem poświęceniem i miłością ku młodzieży, a ponieważ zły wybór zawsze jest możliwy, więc kuratory i władze szkolne muszą czuwać i nad dyrektorem, żeby stanowiska swego nie uważał za intratną synekurę i nie wyręczał się po prostu starszymi uczniami (lub akademikami). Gdyby jednak liczba mieszkańców bursy była zbyt wielka, nie podołałby i najlepszy dyrektor swojemu zadaniu; sądzimy więc, że nie powinna ona wynosić więcej nad 40 — 50ciu; z tego zaś wynika, że potrzeba nam jeszcze wielu burs nowych, które, jak mamy nadzieję, zakładać będzie i ofiarność prywatna i samo państwo, skoro całe społeczeństwo dojdzie do przeświadczenia, że gimnazya nie przyniosą pożądanego pożytku, jeżeli połowa ich uczniów wzrastać będzie bez opieki domowej.

Co do s t a n c y i, poddajemy rozwadze myśli następujące: 1) Grono nauczycielskie ma prawo i obowiązek zabronić rodzicom umieszczania synów w domach, o których już wyrobiło sobie zdanie niekorzystne, które nie dają żadnej rękojmi należytego dozoru, albo też z pewnych szczególnych powodów nie są dla uczniów starszych stósowne (n. p. u wdów, nie będących w wieku podeszłym, albo mających córki dorosłe, nie powinni mieszkać uczniowie klas wyższych i seminaryów nauczycielskich), 2) Trzeba koniecznie od czasu do czasu stancye odwiedzać (jak już obecnie praktykuje się w niektórych przynajmniej zakładach prowincyonalnych). Ponieważ przewidujemy, że znaczna część nauczycieli nie zgodzi się z tym wnioskiem, wypada nam rozważyć wszystkie względy *pro i contra*: Jak już wspomnieliśmy na początku, sądzi bardzo wielu, że profesor ma tylko uczyć w szkole, a niepotrzebuje troszczyć się o zajęcia i stosunki domowe młodzieży, chyba że jakieś skargi zniewolą go do interwencyi, i nietrudno jest wytłumaczyć powstanie tego poglądu; bo wszakże kandydaci na profesorów szkół średnich zajmują się prawie wyłącznie swoją umiejętnością a mało co słyszą i czytają (albo i nic) o obowiązkach wychowawcy, które w całem szkolnictwie dzisiejszem mniej są uwzględniane od sprawy nauczania. Czyż jednak istotnie należy do obowiązków profesora jako wychowawcy odwiedzanie uczniów? — Sądzimy, że trzeba odpowiedzieć twierdząco: skoro bowiem rodzice a szczególnie ubożsi, nie mogą sami doglądać swoich dzieci, ani zapewnić im dobrego dozoru, którego brak sprowadza najczęściej skutki opłakane, powinien nauczyciel korzystać z praw, jakie mu daje jego stanowisko i zastąpić nieobecnego w mieście ojca, o ile to jest w jego mocy.

Ależ to nowy będzie ciężar, którego nie godzi się narzucać obarczonym już nad miarę nauczycielom szkół średnich! Więc zamiast użyć po lekcyach przechadzki albo coś prze-

*) Przy tem obliczeniu pominąłem jednak kilku, którzy mieszkają u krewnych, albo u osób, nie trzymających zwykle uczniów na stancyi dla zarobku. W bursie zaś mieszka 58.

LISTY DO REDAKTORA.

Kochany redaktorze! Wszak zgadzasz się na to,
Że gdy przeminie wiosna, następuje lato?...
Dziękuję ci. To samo stało się w tym roku.
Wiosna frunęła od nas na srebrnym obłoku,
A miłościwe lato, na złotym rydwanie,
Wjechało i nad ziemią wzięło panowanie.
Jaśnie wielmożne słońce promienistem okiem
Spojrzało na ród ludzki i takim potokiem
Oblało nas w swej łasce światła i płomieni,
Że każdy, kto miał tylko monetę w kieszeni,
Czyli to mąż hartowny, czyli mdła niewiasta,
Na wszystkie cztery rogi — precz — umykał z miasta.
Jeden w lasy i góry odpoczywać w chłodzie,
Drugi ciało swe grzeszne moczyć w zimnej wodzie.
Inny zadawać szyku w zagraniczne kraje,
Wychodząc z tej zasady, że gdy człek wydaje
Spory grosz, niech mu za to satysfakcya płynie:
Niech Niemiec się dziwuje twojej gęstej minie,
Niech ucieszne koziołki przed tobą wyrabia,
Zgięty w kabłąk, niech mówi: „Jaśnie panie hrabia..."
Co prawda, to i w domu łatwo za guldena
Zostać hrabią od stróża, fiakra czy gamena.
Lecz inna rzecz jest nędzny fagas w swojskiej chacie,
Inna Niemiec we fraku i białym krawacie.
Bo gdy ten — bywa — twoją jasność seryo bierze,
W domu każdy wie dobrze, coś ty jest za zwierzę.
Z tem wszystkiem, w onym naszym zagranicznym pędzie,
Kto wie, czy odrobinę słuszności nie będzie.
Bo, co pragnący zdrowia lub willegiatury
Znajdzie u siebie w domu? — Albo liche dziury,
W których elementarne i społeczne klęski
Z nieszczęśliwym człowiekiem toczą bój zwycięski;
Albo, jeśli zdobędzie gdzie jaką wygodę,
To tyle musi płacić za chleb i za wodę,
Za powietrze, za słońce, za pełnię księżyca,
Że bajki w porównaniu wszelka zagranica.
Stawiam tu, jako przykład, wszystkim dobrze znane
Nasze piękne, urocze, miłe *Zakopane*.
Pomijając lekarskie dwa czy trzy zakłady,
Gdzie również mniej wygody niżeli parady,
Co tam znajdzie? Czy jedno z komfortem mieszkanie?
Czy gdziekolwiek posiłku smacznego dostanie?
Czy w czas deszczu unikniesz tam grzęzkiego błota?
Czy schwytasz kapkę chłodu, gdy dusi spiekota?
Boć i w lasach poblizkich, wśród pni i kępiny,
Niema tam przyzwoitej jakkolwiek drożyny.
Czy masz się czem przejechać prócz trzęsącej budy,
Z góralem ustrojonym w zatłuszczone brudy?...
Powiedzą mi: wycieczki! Ależ wielkie Bogi!
Nie każdy ma miech w płucach i stalowe nogi,
By przez głazy, korzenie, wyrwy i wąwozy
Skakać na łeb na szyję nakształt dzikiej kozy!
Tak się ma w klimatycznym tym naszym klejnocie.
Cóż dopiero gdzieindziej, gdzie człek w czoła w pocie
Musi zdobywać masła grudkę na śniadanie,
A na mleko formalne czynić polowanie!
Gdzie w nocy wszelki owad krew z ciebie wysysa,
A w dzień co krok spotykasz krowę lub kundysa,
Gdzie z okien się nasycasz widokiem prosięcia,
I gdzie ludność miejscowa tyle ma pojęcia
O obejściu złączonem z pewną uprzejmością,
Że ci każda przyjemność stanie w gardle kością.
Że to, co powiedziałem tu, jest prawda czysta,
Z pewnością mi potwierdzi każdy nasz turysta,
Jeżeli w sercu swojem sprawiedliwość chowa.
Dlatego też z mej skargi nie cofam i słowa
I w sumieniu mi żaden wyrzut się nie budzi,
Bo przecież się odzywam do rozumnych ludzi,
Którzy mnie nie posądzą o niechęć dla kraju,
Albo że się w niemieckim kocham obyczaju.
Bowiem można mieć serce dobrej woli pełne,
A przeto nie obwijać własnych wad w bawełnę.
Zresztą każda uczciwa i słuszna krytyka,
Nie tylko do poprawy pola nie zamyka,
Lecz owszem, do energii i czynu pobudza.
Dla tego niech tam sobie politura cudza
Będzie jak tam chce piękna, to my w dziury nasze
Jeździć będziemy chętnie; z kwaśnem mlekiem kaszę
Przedkładając nad wszelkie niemieckie frykasy;
A swoją drogą czynić będziemy hałasy
Ażeby choć powoli, za dobre pieniądze,
Przystojniej zaspakajać nasze letnie żądze.

. . . .

Po tej wycieczce na wieś, wracam orzeźwiony
Do tej na kuli ziemskiej miast wszystkich korony,
Miłego Indykowa; w którym tego roku
Z różnych smętnych powodów i z pracy natłoku
Lato przepędzić muszę; a do tego jeszcze
Losy, nie wiem tam jakie, dosyć że złowieszcze,
Takim mnie oplątały fatalnym arkanem,
Że zostanę, o Boże! — *wdowięciem* słomianem!
Powiedziałem *wdowięciem* — nie wdowcem — z powodu,
Że chcę tu stwierdzić, wobec całego narodu,
Jako słomiany wdowiec jest na całym świecie
Istotą najnędzniejszą; niby małe dziecię,
Bez opieki i steru, — bo wdowiec prawdziwy,
Będąc wolnym — ma prawo wszelakie porywy
Swego temperamentu zaspakajać snadnie.
Gdy słomiany sam nie wie, co na niego spadnie:
Pogoda czyli słota za powrotem żony.
Dlatego to przez miłość i zacność strzeżony,
Jest jak małe pacholę, czy biedne *wdowię*.
Oto jak się ten wyraz urodził w mej głowie.
Na stwierdzenie poglądów moich, dam tu krótko
Ilustracyę wdowieństwa, onego milutką:
Historya się zaczyna z wielką chwilą oną,
Gdy po walnej naradzie zgodnie ułożono,
Że małżonka wyjeżdża do kąpiel po zdrowie,
A małżonek zostaje z mopsem w Indykowie.
Uprzedzam, że nie będę tu mówił o sobie,
Tylko przyjacielu; tem słuszniej to robię,
Że o nim właśnie krążą ciekawe pogłoski,
Jako wdowieństwo spędza w sposób iście boski.

. . . .

Lat upłynął dziesiątek, jak jest on po ślubie;
Ranki przepędza w biurze, a wieczory w klubie,
Co wskazuje, że nie jest żadnym safandułą.
Że jednak duszę prawą ma i mocno czułą,
Więc przed odjazdem żony, dwa czy trzy wieczory
W klubie się nie pokazał. Myśląc, że jest chory,
Poszedłem go odwiedzieć i tak się trafiło,
Że tylko co wyprawił magnifikę miłą.
Siedział we dwójkę z mopsem, markotny troszeczkę;
W szlafroku, w okularach, w dłoni miał karteczkę,
Którą podał mi zaraz z miną osowiałą.
Wziąłem i przeczytałem. Na karteczce stało:
„*Dla pamięci — mężowi — po odjeździe żony*:
„Pamiętaj, by mój Bižu był dobrze karmiony
„I nie pił wody innej, jak przegotowaną.
„Pamiętaj, żeby codzień kwiaty podlewano,
„I to zawsze wieczorem; **pamiętaj kochanku,**
„By kto czego nie ukradł z mej szafki na ganku,
„Jakto się raz zdarzyło; pamiętaj, kochany,
„Co sobota przetrzepać meble i dywany,
„Moleby je ścinać mogły i byłaby szkoda;
„Pamiętaj mi otwierać okna, gdy pogoda,
„A kiedy deszcz — zamykać; pamiętaj, kochanie.
„Od dziś za trzy tygodnie, kazać zrobić pranie,
„Ażebyś miał w czem chodzić; pamiętaj mój drogi,
„Kazać pomyć, a potem zaprawić podłogi,
„Pamiętaj o kanarku; pamiętaj mój miły,
„Późno w noc nie powracać, bo to niszczy siły;
„Pamiętaj — pisz o wszystkiem do mnie szczegółowo,
„Pamiętaj .."—nie skończyłem; tylko kartkę ową
Przed przyjacielem cicho złożyłem na stole.
A teraz proszę wszystkich, kto ma dobrą wolę,
Niech się tylko spokojnie nad tem zastanowi,
Ile fantazyi może zostać człowiekowi,
Noszącemu w swej duszy zlecenia żonine?
Od rana do wieczora trze tylko czuprynę,
By wszystkiemu podołać; boć i kocha żonę,
I czuje, że jej rady są uzasadnione.
Wziąwszy więc na uwagę: owo zamiatanie,
Trzepanie, otwieranie, pranie, podlewanie..,
Słomiany wdowiec, tyle z swobody korzysta,
Że w klubie kilka robrów więcej zagra wista
I parę godzin później powróci do domu,
Spokojny, że tam gderać nie będzie nań komu.
Co prawda, między nami są i Donżuani...
Ale tacy potrafią i przy własnej pani
Płatać małe figielki gdy okazya nada;
Lecz takich — jeden na sto! zaś reszta, gromada,
Donżuanizm uprawia, ot sobie, dla szyku,
Nie tak w eksperymencie mocna — jak w języku.

. . . .

czytać, mają błąkać się po zaułkach i poddaszach, śledząc swoich wychowanków i narażając się na rozliczne przykrości, które mogą ich spotkać? Nie, tego nikt rozsądny nie będzie żądał, żeby nauczyciel pozbawiał się nawet potrzebnej przechadzki i lektury, poświęcając cały swój czas wolny odwiedzaniu uczniów! Owszem, zbyteczna gorliwość w tym kierunku byłaby nawet ze względów pedagogicznych szkodliwą, bo wyglądałaby na podejrzliwe i nieżyczliwe szpiegostwo, gdyby ktoś n. p. wpadał późnym wieczorem lub w nocy do mieszkania uczniów, zdjętych już snem głębokim dla przekonania się, czy nie wałęsają się jeszcze po za domem. *Ne quid nimis!* Roztropność jest wszędzie nieodzowna. My tylko uważamy za rzecz konieczną, żeby dyrektor odwiedzał sam, lub delegował przynajmniej raz lub dwa razy na rok (najlepiej z początkiem kursu) nauczycieli (nietylko gospodarzy klas, żeby nie wszystkie ciężary spadały na nich i żeby także inni członkowie grona stykali się cokolwiek z młodzieżą po za szkołą) do każdej stancyi dla przekonania się, czy nie jest przepełniona, czy oprócz podanych do jego wiadomości mieszkańców nie ma tam jeszcze innych, czy jest tam istotnie jakiś dozór, czy nie czytają złych książek, czy nie obcują ze znanymi nieprzyjaciółmi kościoła i społecznego porządku i t. p., czy wreszcie i pod względem zdrowotnym można ich mieszkanie uznać za dobre. Oczywiście musimy uwzględniać ubóstwo największej części rodziców, które ich zniewala do umieszczania synów u ludzi także ubogich i nieoświeconych n. p. u wdów, dla których utrzymywanie studentów na stancyi jest głównem źródłem dochodów; trudno więc żądać, aby wszędzie opiekował się uczniami mężczyzna, posiadający wszelkie potrzebne do tego przymioty, takich nie znajdzie się wielu po mniejszych miastach, (a zresztą wiemy z doświadczenia, że czasem prosta a uczciwa kobieta bywa lepszą dozorczynią, niż stadła małżeńskie, które często żyją ze sobą w niezgodzie i gorszą uczniów słowem i uczynkiem.)

Jeżeli zaś okaże się, że zbyt wielu uczniów mieści się razem, że po dwóch sypia w jednem łóżku, że izby są wilgotne i duszne, że grają w karty o pieniądze, palą papierosy, że jedni drugim przeszkadzają w nauce itp., należy ich natychmiast do przeprowadzenia się zniewolić; z reguły nie powinni też uczniowie klas najniższych i średnich mieszkać ze starszymi, chyba że ci są bardzo przyzwoici i przykładni. W osobnej książce należy w porządku alfabetycznym spisywać podane przez uczniów nazwiska osób, trudniących się utrzymywaniem studentów zawodowo, a z końcem półrocza dodać zawsze notatkę, jakie było zachowanie się uczniów i czy ich dozorcy nie zasłużyli sobie na jakąś naganę; na tej podstawie będzie można przy następnych zapisach, po sumiennej rozwadze i bliższem poznaniu każdej z owych osób, pewne stancye rodzicom polecać, inne zaś uznawać za niedopuszczalne. Oprócz wspomnianych odwiedzin z początkiem roku okaże się może jeszcze czasem raz i drugi potrzeba ich powtórzenia, kiedy n. p. uczeń zacznie zaniedbywać się i często opuszczać lekcye. Ponieważ więc liczba stancyi, które wymagają odwiedzin, nie jest zbyt wielka, wypadnie 2 lub 3 wizyty na każdego z członków grona na przeciąg całego roku; nie będzie więc to wielki ciężar ani strata czasu.

Co się tyczy zaś owych przykrości, które mogą profesorów spotykać przy odwiedzaniu stancyi, jak niejeden się obawia, odpowiadamy po prostu, że są to całkiem płonne obawy, bo wszakże i uczniowie i ich dozorcy wiedzą doskonale, że są od nauczyciela zawiśli, więc będą go przyjmowali z należnem uszanowaniem, nie będą i w głębi serca żadnej niechęci z tego powodu przeciw niemu żywili, jeżeli jego odwiedziny będą miały charakter przyjacielski i ojcowski, jeżeli będą miały widocznie ich dobro na oku; owszem one nawet sprawią przyjemność i dozorcom sumiennym, bo przyczynią się do utrzymania porządku na stancyi, i uczniom, którzy cieszą się, kiedy nauczyciel po za szkołą z nimi coś pomówi i pożartuje, pytając się o ich pracę, o ich zabawy i stosunki domowe. Jedynie w takim wypadku mogłoby odwiedzanie stancyi wpłynąć niekorzystnie na stosunek między młodzieżą i nauczycielem, gdyby ono nie było zwyczajem powszechnym, gdyby przychodzili tylko niektórzy i gdyby całe ich zachowanie nie było wolne od pozorów jakiegoś nieżyczliwego śledzenia *).

Cóż jednak pomogą takie odwiedziny, zapyta może ktoś jeszcze, jeżeli uczniowie będą mogli swobodnie późnym wieczorem i w nocy wychodzić z domu, odwiedzać szynkownie i inne lokale zabronione, uczęszczać do teatru na widowiska niemoralne itd.? — Na to odpowiadamy, że jest rzeczą policyi powstrzymywać młodzież od pijaństwa, zabraniać jej nocnej włóczęgi i wstępu do teatru bez wiedzy i pozwolenia dyrekcyi itp.; — a jeżeli dziś jeszcze trudno spodziewać się od wszystkich organów władzy, które mają czuwać nad moralnością publiczną, że zechcą i potrafią spełnić należycie ten obowiązek, wolno mieć przecież nadzieję, że zaczną go spełniać w niedalekiej przyszłości. Zresztą nie twierdzimy bynajmniej, że odwiedzanie stancyi wszystko złe zdoła usunąć, tylko że uchroni młodzież niewątpliwie od wielu niebezpieczeństw i wpływów niekorzystnych. *X. dr. Alexander Pechnik.*

*) W kwietniowym zeszycie „Muzeum" z r. b. wspomina prof. M. Lityński (na st. 293) o „tysiącznych niezasłużonych przykrościach", na które narażać ma odwiedzanie uczniów i przytacza jako przykład odstraszający, że „kiedy w pewnem mieście prowincyonalnem zarządzono takie wizyty, przekonali się wprawdzie nauczyciele o okropnym stanie rzeczy, przechodzącym wszelkie wyobrażenie, niczemu jednak zaradzić nie mogli, bo spotkali się z tak groźną postawą utrzymujących stancye i samej młodzieży, że musieli zaniechać dalszych badań, nie chcąc siebie i swych rodzin narażać na niebezpieczeństwo, zagrażające zdrowiu a nawet i życiu. Pewien nauczyciel, któremu za to wielkimi kawałami rąbanego drzewa wybito okna, cudem tylko uniknął kalectwa!" — Sądzimy jednak, że fakt ten jeżeli zdarzył się istotnie (— bo można bardzo wątpić, czy same owe wizyty były jedyną pobudką do brutalnego ekscesu, o którym czytamy), należy uważać za wyjątkowy i niczego nie dowodzący; w miastach prowincyonalnych (gdzie najczęściej nie ma policyi, czuwającej i w nocy nad bezpieczeństwem mieszkańców) zdarza się dosyć często wybijanie szyb z rozmaitych powodów; jednemu np. bardzo zresztą lubianemu przez młodzież profesorowi wyrządziło tę przykrość kilku uczniów za to, że uwiadomił dyrekcyą o pewnem ich wykroczeniu; — drugiemu za to, że przestrzegał przed tajnymi związkami i konspiracyami, — trzeciemu za wystąpienie przeciwko dziecinnej a niezgodnej z przepisami szkolnymi demonstracyi itp.; najczęściej zaś bywa powodem tak niegodnej zemsty ścisła i sumienna klasyfikacya, bo nic bardziej nie drażni uczniów zepsutych i źle wychowanych w domu, jak odmówienie promocyi, jeżeli mianowicie roszczą sobie prawo do niej pomimo braku pilności albo i talentu. Czyż więc obawa podobnych następstw, których zresztą zwykle nie sprowadza odwiedzanie uczniów, praktykowane przecież od dawna w niejednem gimnazyum, ma nas powstrzymywać także od sumiennej klasyfikacyi? — Owszem, takie wybryki, które bardzo źle świadczą o stosunkach domowych pewnej części uczniów gimnazyalnych, powinny zdaniem naszem nakłonić władze szkolne do tem bardziej stanowczego działania w kierunku, przez nas wskazanym.

Powodzie.

Z Niżniowa piszą nam: Dolina Dniestru od Sambora począwszy na kilka mil miejscami szeroka, zwęża się ku wschodowi coraz bardziej. W Petryłowie poniżej Tyśmienicy mierzy już 5 km. szerokości, a w Niżniowie o pół km. na wschód od mostu drewnianego, szerokość jej wynosi już tylko 1·8 km. W Niżniowie bowiem nad Dniestrem schodzą się, od północy wyżyna Podolska, a od południa pogórze Pokuckie. Łatwo więc pojąć, że gdy w górnym swym biegu Dniestr podniesie się o kilka decymetrów, w Niżniowie, mając łożysko kilka razy węższe, kilka razy wyżej wzbierze. Przekonaliśmy się już dowodnie, że gdy w Haliczu woda podniesie się o pół metra, tutaj mamy jej już dwa do czterech metrów ponad stan normalny. Tak bywało do roku 1884. Lecz od tego czasu wody znacznie wyżej wzbierają, zwłaszcza w Petryłowie, Nowosiółce, Lipie, małej osadzie przy ujściu Złotej Lipy do Dniestru i w zachodniej części Niżniowa, gdyż wał kolejowy zamyka zupełnie dolinę Dniestru, tworząc rodzaj grobli, a most jest tylko 320 m. długi. Cóż to za ujście dla wezbranego Dniestru? Już gołem okiem można przekonać się, że nawet podczas niewielkiego wezbrania, woda powyżej mostu kolejowego na kilka decymetrów do pół metra stoi wyżej, niż przy moście drewnianym, a gdy woda przy dolnym moście wynosi 3 do 5 m. nad poziom, to różnica dochodzi nieraz do $1\frac{1}{2}$ m. Od tego też czasu datują się znaczniejsze wylewy na najżyźniejsze pola Niżniowa i wsi wyżej wymienionych. Ale nietylko wązki most stał się przyczyną podnoszenia się wody w razie wezbrania, ale on także jest przyczyną, iż powódź trwa długo, gdyż wody nagromadzone na przestrzeni 2 do 5 km. szerokiej, a do 8 km. długiej, nie mogą tak prędko spłynąć, jak dawniej, kiedy miały odpływ 1·8 km. szeroki.

Bywały i dawniej ogromne wylewy, n. p. w roku 1882 stan wody przy moście drewnianym wynosił 5·6 m. a trwał 30 godzin. Większego najstarsi ludzie nie pamiętają Lecz czemże on jest w porównaniu z katastrofą tegoroczną!

Już dnia 3-go czerwca Dniestr zaczął wzbierać, w poniedziałek (5 b. m.) już wystąpił z brzegów, a mieszkańcy chat niżej położonych ratowali się ucieczką do zagród na wzgórkach stojących. Lecz w nocy z poniedziałku na wtorek zbudzeni zostali niezwykłym szumem. Wybiegają na dwór, lecz zamiast stąpać po gruncie czują pod nogami wodę. Ledwie świtać poczęło, co mogło i żyło, rzuciło się na ratunek zagrożonym. Z początku przewożono zatopionych furami, ale że woda do 10 tej przed południem ciągle przybywała, nie można już było dotrzeć końmi do dalszych chat, gdyż woda porywała konie i cały zaprzęg. Stan wody wynosił wówczas przy moście drewnianym 6·15 m. t. j. o przeszło pół metra wyżej niż dotychczas, a przy moście żelaznym 7.60 m. Napór wody na wał kolejowy był tak okropny, że w jednej chwili został wał przerwany w trzech miejscach, a w jednem nietylko do dna zniesionym, ale jeszcze i głębia 4-metrowa w tem miejscu powstała.

Ratunek był w ogóle niedostateczny. Bardzo wielu przenocowało na dachach lub strychach swych chat. Wprawdzie żandarmerya a mianowicie komendant p. Aleksander Wolf i żandarm Kulmatycki od świtu do ciemnej nocy uwijali się łódkami rybackiemi, lecz ratunek to powolny, bo na taki statek mogli co najwyżej wziąć jedną osobę, lub jeden wór zboża. Dopiero ku wieczorowi zbito z połapanych na Dniestrze desek i belków tratwę i nią przewożono osoby zagrożone topielą Obok iście chrześcijańskiego poświęcenia się powyżej wymienionych, którzy niejednokrotnie z narażeniem życia ratowali, wypada tu podnieść jeszcze czyn heroiczny dwóch innych ludzi. Żandarm Lazor został odesłany na ratunek wsi zatopionych na lewym brzegu Dniestru. Dobrze to wysłać, ale sztuka dostać się na drugi brzeg. Tor kolejowy zniszczony, a gościńcem pędzi woda z taką chyżością, że nawet bydło porywa, nie ma więc nawet mowy o tem, aby po którymkolwiek moście przejść. Siada więc w łódkę również odważnego jak sam rybaka i puszcza się tą łupiną na fale rozhukanego żywiołu. Bóg pobłogosławił szlachetnemu celowi, bo p. Lazor dobił szczęśliwie do celu, a raczej połowy celu, bo jeszcze musiał również rozszalałą Złotą Lipę przebyć. Drugim znów jest rybak Petro Bubaj. Ten zobaczył w środę rano na przeciwnym brzegu człowieka na dachu, który tam siedział jeszcze od poniedziałku wieczora. Bubaj niedługo namyślając się, wziął drabinę na łódkę, przeprawił się na drugi brzeg przystawił drabinę biedakowi, który już 36 godzin bez pożywienia mókł na słocie i skostniałego prawie odwiózł na ląd, a sam powrócił napowrót na prawy brzeg, gdyż tu było więcej do roboty.

Niemniej chłopak jakiś z sąsiedniej wsi okazał ogromne poczucie obowiązku. Gospodarz posłał wyrostka około 15-letniego po woły, które był oddał na pastwisko do Niżniowa, gdy zobaczył, że to pastwisko woda zalewa. Chłopak przybył na czas, aby woły wziąć na wołowód (sznur), ale nie zdążył uciec. Woda go zaskoczyła tak, że musiał się uczepić wołu za rogi, by go woda nie uniosła. Z prądem wody dostał się do jakiejś zagrody, uczepił się łaty i wydrapał na dach i tu przebył prawie trzy doby, nie wypuszczając sznura, na którym były woły uwiązane. Gdy woda ustąpiła w czwartek o tyle, że można już było przebrnąć gościniec, bez obawy że prąd porwie, gospodarz jakiś zdjął biedaka z dachu i wziął go do siebie.

Patrzącemu z wierzchołka góry Gajówka nad samym brzegiem Dniestru straszny przedstawiał się widok. Wszędzie, jak oko sięgnie, fale brudnej, mętnej wody, a wśród nich wierzchołki drzew i dachy chat, niby wysepki małe, do których łódki i na prędce sklecone tratwy to przybijają, to odpływają. Nieco na zachód po lewym brzegu widać także tylko dachy i wierzchołki drzew, to osada „Lipa" u ujścia Złotej Lipy, pod wodą. Lecz gdzież Nowosiółka? Dla Boga, cała pod wodą! Ani jednego dachu nie widać. Nizina Petryłowska również pod wodą, tylko chaty na zboczach gór bieleją. Po Dniestrze uwijają się łódkami rybacy i łowią co się nadarzy. Tu szafa pełna sukien aż z Maryampola przypłynęła, tam tratew rozbita, ówdzie kufer otwarty a obok niego bielizna jak płaty śniegu bieleje na tle żółtej wody. Pomiędzy tem wszystkiem bydło potopione. Sześćdziesiąt sztuk bydła nieżywego wyciągnięto z wody.

Wreszcie we czwartek około 8 ej rano poczęła woda powoli opadać, a około szóstej wieczorem jakiś niecierpliwy podróżny przyjechał do Niżniowa z Monasterzysk, pomimo, że na gościńcu z obu stron mostu konie musiały do półciała w wodzie brodzić i przywiózł od trzech dni pierwszą listową pocztę. Dopiero w Niedzielę woda z gościńca zupełnie ustąpiła, tak, że można było suchą nogą aż do mostu dojść. Co za przygnębiająca przechadzka! Jak oko zasięgnie, wszystkie pola i ogrody zalane wodą; chaty poniszczone, lub porozwalane; płoty powywracane i w poprzek dróg porzucane. 192 domów uszkodzonych tak, że w nich na razie mieszkać nie można, a 46 gospodarzy nietylko dachu nad głową, ale i kawałka chleba nie mają, bo zaskoczeni nagle nie mogli zboża uratować, więc woda je zatopiła. Tam, gdzie dawniej były najżyźniejsze ogrody i pastwiska, tam dziś kupy metrowe piasku, kamieni lub namułu, albo wyrwy nieraz do czterech metrów głębokie. Jak sprawdzono, to tysiąc morgów pola włościańskiego zostało zniszczonych, a dwór także szkodę oblicza na około 8 do 10 tysięcy. Tego niezwykle wielkiego i długiego, bo przeszło cztery dni trwającego wylewu, co się dotąd jeszcze nie trafiało, przyczyną jest wał kolejowy, który spiętrzył wodę do przeszło siedmiometrowej wysokości na ogromnej stosunkowo przestrzeni, a odpływ był możliwy tylko na 320 metrów długim pasie pod mostem. Lecz gdy odtrącimy filary murowane grubości po 2 m. to zostanie na odpływ tylko 300 metrów, a to za mało dla wezbranego Dniestru.

Zaraz w pierwszych dniach zalewu utworzył się tu komitet ratunkowy dla zupełnie zubożałych. P. Jan Urbański, właściciel Niżniowa, pomimo, że sam poniósł ogromne straty, rozdał pomiędzy nieszczęśliwych do 30 korcy zboża i każdemu dał po 2 zł. gotówką. Pp. oficerowie od ułanów z Monasterzysk przywieźli 100 bochenków chleba, a Wydział Rady powiatowej przysłał 200 bochenków i 50 topek soli.

Prócz Niżniowa poniosły ogromne straty: Petryłów, Dołhe, Ostra i Kułyska. Nowosiółka, Lipa i Koropiec mniejsze, bo ich pola leżą na górach.

W Petryłowie jest obszerna wyspa Zabycze, otoczona odnogą Dniestru „Byk" zwaną, na której przeszło 100 gospodarzy ma swoje zagrody. Otóż Zabyczanie zostali tak nagle wodą zaskoczeni, że myśleć nie mogli nawet o przeprawie do wsi położonej przeważnie na zboczach gór. Wypuścili więc bydło ze stajen, a sami na dachy, bo prócz wązkich łódek rybackich, nie mieli innych statków. Od wtorku rana aż do środy do południa w strachu i o głodzie przesiedzieli na dachach i kto wie coby się było z nimi stało, — później bowiem woda znaczną część budynków zabrała — gdyby nie p. Simonowicz, który spostrzegłszy niebezpieczeństwo, sam pierwszy przybył na ratunek, a za nim więcej ludzi na tratwach przypłynęło.

Kułyska zaś, to istne miejsce na zagładę przeznaczone. Jak nie z dołu, to z góry bieda na nich spada. Czego woda nie zabierze, to zasypią kamienie. Tego roku w maju ulewa dwa razy naniosła z gór tyle kamieni nietylko na ogrody, pola i drogę publiczną, ale i do chat, że z domów i podwórzy musiano je furami wywozić, a komunikacyę przerwały na 10 dni, nim je z gościńca uprzątnięto. Po tej nawale kamiennej, cała nadzieja pozostała na pola wzdłuż Dniestru położone; widocznie jednak nie było Kułyszczanom danem jeść w rb. swój chleb, bo Dniestr znów nisko położone pola zamulił. Tak więc tylko bogatsi, którzy mają pola na górach, jako tako patrzą w przyszłość.

Prócz powyższych wsi, powódź nawiedziła jeszcze w tutejszym powiecie położone: Ottynię, Krzywotuły dolne, Czarnołożcie, Odaje, Tyśmienicę, Woronę, położone nad Woroną, dopływem Bystrzycy Nadwórniańskiej. *F. G.*

Do pp. Prenumeratorów Przeglądu!

Za każdą zmianę adresu należy z góry uiścić 20 ct.

Osoby wyjeżdżające do wód po za granice monarchii zechcą nadto opłacić różnicę porta pocztowego, która wynosi do Niemiec 35 ct. miesięcznie, do Szwajcaryi, Włoch, Francyi, Belgii, Hollandyi etc. 65 ct. miesięcznie.

„Wiarusy," powieść trzytomowa w wydaniu książkowem, jest do nabycia w administracyi „Przeglądu" po 4 zł z przesyłką pocztową.

KRONIKA.

Lwów 27 czerwca.

Dyrektor kolei państwowych, p. Deyma, wyjechał dziś rano na inspekcyę linii bukowińskich i do Niżniowa; powróci we środę a we czwartek obejmie urzędowanie.

Mianowania. Komisarz powiatowy p. Zdzisław Morawski mianowany wicesekretarzem w prezydyum Rady ministeryalnej.

Kontrolor podatkowy p. Karol Jakubowski mianowany głównym poborcą podatkowym w krajowej dyrekcyi skarbu we Lwowie.

Prowizorycznymi powiatowymi inspektorami szkolnymi w IX klasie rangi mianowani: starszy nauczyciel w Bolechowie Julian Liskowicz na okręg sokalski, nauczyciel we Lwowie Karol Falkiewicz na okręg gródecko-rudeński, katecheta w Łańcucie ks. Walenty Mazanek na okręg szkolny łańcucki i nauczyciel w Klikowej Henryk Woelfle na okręg kolbuszowsko-ropczycki.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Złoczowie rozpisała z terminem do końca lipca konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. Kandydaci nauczycielscy wstępujący do służby, otrzymać mogą płacę za miesiąc sierpień z góry, jeżeli zaraz po złożeniu egzaminu dojrzałości wniosą podania o posadę. — Wydział Rady powiatowej w Złoczowie ogłasza konkurs na posadę sekretarza Rady powiatowej z roczną płacą 1100 złr. Podania należy wnieść do 22 lipca rb.

Z Politechniki. Nadzwyczajny profesor lwowskiej szkoły Politechnicznej, p. Leopold Marconi, otrzymał tytuł i charakter profesora zwyczajnego.

Śluby. W sobotę w kościele WW. Świętych w Krakowie odbył się ślub panny Zofii Kołodziejskiej z p. Stanisławem Truskolańskim, magistrem farmacyi.

W kościele parafialnym w Raciechowicach pobłogosławiony zostanie dnia 8 lipca rb. związek małżeński między p. Kazimierzem Ajdukiewiczem, profesorem studyum rolniczego przy Uniw. Jagiell., a panną Julią Finkówną, córką Adama i Maryi z Dunikowskich Finków.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. archidyecezya lwowska: Kanoniczną instytucyę na gr. kat. probostwo w Czyżykowie otrzymał ksiądz Antoni Zarychta.

Gr. kat. dyecezya przemyska. Kanoniczną instytucyę na Tehlów, w dekanacie uhnowskim, otrzymał ksiądz Teofil Musij. Wikarym w Kulikowie mianowany ks. Antoni Wesołowski. Poddziekanem w dekanacie komarniańskim mianowany ksiądz Józef Kozakiewicz, paroch w Koniuszkach Królewskich.

Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się jutro we środę dnia 28go czerwca o godzinie szóstej wieczorem.

Dyrekcya kolei państwowych donosi, iż na szlaku kolejowym Karapcziu-Berhomet przywrócono ruch wszystkich pociągów.

Muzyka wojskowa 24 pp. grać będzie jutro we środę na Wysokim Zamku. Początek produkcyi o godzinie 6.

Zmiana nazwiska. P. Maurycy Dattelbaum zmienił nazwisko na „Dylski".

W procesie ks. Stojałowskiego odbyła się wczoraj rozprawa tajna. Odczytano na niej ustępy z broszury „Vor das Weltgericht" i akta konsystoryalne.

Wyścigi podczas wystawy. Na wczorajszem walnem zgromadzeniu Towarzystwa chowu koni i wyścigów uchwalono, iż w roku przyszłym wyścigi we Lwowie odbędą się dwa razy, a mianowicie raz w zwykłym terminie w czerwcu, drugi zaś raz we wrześniu, podczas wystawy i pobytu Monarchy we Lwowie. Wyścigi czerwcowe w roku przyszłym trwać będą tylko trzy dni, gdyż niektóre biegi przeniesione zostaną na wrzesień. Między innemi bieg dwulatków odbędzie się dopiero w jesieni.

Wyścigi kłusowe. W środę o godzinie 1 odbędą się po raz pierwszy wyścigi kłusowe wózkami od rogatki Stryjskiej do Derewacza i napowrót. Zwycięzca otrzyma nagrodę honorową. Konie tylko w kraju urodzone udział brać mogą w tym biegu. Powożą sami właściciele koni. Konie, które wpadną w galop, muszą być w przeciągu minuty napowrót w kłus wprowadzone. Na każdym wózku, udział biorącym w biegu, jedzie sędzia. Mianowania do chwili startu dozwolone. Start o godz 1 w południe. Pojazdy wyjeżdżają co 6 minut jeden za drugim. Dotychczas zgłoszono do tego biegu konie pp. Tadeusza Ostaszewskiego, Wład. Płockiego i Jana Rosenstocka. Dla pierwszego wyznaczony sędzia p. Józef Krzysztofowicz, dla drugiego p. Jan Mazewski, dla trzeciego p. Witołd Traczewski. Największą szansę będą miały konie najwytrwalsze, bo przebycie 30-kilometrowej przestrzeni, na złym i pagórkowatym gościńcu, w stosunkowo krótkim czasie takie tylko odbyć mogą.

Raut. Wczoraj w salonach pp. Marchwickich odbył się raut, dany na cześć delegatów wystawy krajowej ze wschodniej Galicyi, którzy przybyli na zgromadzenie do Lwowa. Na raut przybyło przeszło 100 osób; pobyt gościom urozmaicała muzyka 30 p. p. Wesoła i ożywiona zabawa przeciągnęła się do godziny 1 w nocy.

Ze sfer sądowych. Liczba systemizowanych we wschodniej Galicyi posad adjunktów sądów powiatowych została powiększona o jedną, mianowicie w Rohatynie. Nadto w Złoczowie i Rohatynie zostały systemizowane posady kancelistów do prowadzenia ksiąg gruntowych.

Pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański obchodzić będzie dnia 3 lipca b. r. ks. Emil Pasławski, gr. kat. proboszcz w Bucowie, w powiecie przemyskim.

Ministeryum handlu wydało orzeczenie, iż świadectwo ukończenia nauki w zawodowej szkole ślusarstwa w Świątnikach uprawnia do prowadzenia przedsiębiorstwa ślusarskiego.

Dr. Bogumił Bieńkowski, dentysta, osiadł we Lwowie przy ulicy Trzeciego Maja w kamienicy dawniej Tennera. Dr. Bieńkowski kształcił się w instytucie odontologicznym w Berlinie, pierwszym w Europie, oraz w zakładach w Halli i Lipsku.

Z Winnik pode Lwowem donoszą nam: Dnia 25 b. m. odbył się w Winnikach festyn na dochód tutejszego oddziału Tow. „Rodzina". Program urozmaicały muzyka wojskowa 55 p. p., tańce, ognie sztuczne, strzelanie do tarczy, loterya i inne zabawy. Udział publiczności był mierny z powodu niepogody.

Matura. Do egzaminu dojrzałości w szkole realnej w Stanisławowie zgłosiło się 23 uczniów publicznych i 1 prywatysta. Z odznaczeniem złożyli egzamin: Borowiczka Mieczysław, Dziarkiewicz Włodzimierz, Flisowski Stanisław, Wojtan Władysław. Świadectwo dojrzałości otrzymali: Bębnowicz Maryan, Birgel Stefan, Dimant Mojżesz, Heinrich Zdzisław, Jakimowski Witołd, Niewiadomski Maryan, Romanowski Jan, Nowicki Jan, Schäfer Wilhelm, Nistenberger, Łukacz Włodzimierz. Siedmiu uczniów otrzymało poprawkę, jednego relegowano na rok, jeden odstąpił sam.

O posadę dyrektora (lub dyrektorki) żeńskiej szkoły wydziałowej w Stanisławowie ubiega się pięciu nauczycieli i tyleż nauczycielek. Stanisławowska rada szkolna okręgowa zaproponowała na tę posadę na pierwszem miejscu p. Fiałowską, na drugiem p. Niemetzową, a na trzeciem p. Kudelskiego.

W sprawie przejścia kilku parafian wsi Meducha z obrządku gr. kat. na obrządek łać. donosi *Kuryer Stanisławowski* co następuje: W Mędryhorcach, gdzie jest parochem ks. Jankiewicz, a do których należy także cerkiew w Medusze, buduje się teraz nowa cerkiew i ma się restaurować mieszkanie proboszcza. Meduszanie, którzy mieli pokryć część tych wydatków, poczęli się burzyć, a niektórzy z nich odgrażali się, iż przejdą na bezwyznaniowość. Ks. biskup Kuiłowski, dowiedziawszy się o tem, zajął się zaraz energicznie całą sprawą, ustanowił dla Meduchy prywatnego wikarego i przez jakiś czas sam płacił na jego utrzymanie 20 zł. miesięcznie. Gdy jednak zobaczył, że i to nie pomaga, zapłacił za Meduszan całą konkurencyjną sumę w wysokości 150 złr. i w ten sposób cały zatarg załagodził.

Sprawa Morskiego Oka. Z Wiednia piszą do *Czasu:* Spełniając uchwałę Koła poselskiego polskiego, powziętą jeszcze w marcu r. b., prezes Koła, delegat p. Jaworski i delegat p. Chrzanowski byli dnia 14 b. m. u przebywającego podczas obrad delegacyi prezesa ministrów węgierskich, p. Aleksandra Wekerlego, aby mu przedstawić sprawę naruszenia przez Węgrów granicy galicyjskiej w Tatrach przy Morskiem Oku. Delegaci wymienieni, po krótkiem przedstawieniu prawnej strony tej sprawy — przyczem wskazali, że nie idzie tu wcale o to, czy te grunta zakwestyonowane należą do ks. Hohenlohego, czy do hr. Zamoyskiego, bo ten spór prywatny rozsądzą sądy kompetentne, ale o to, że całe Morskie Oko i wszystkie przyległe mu grunta po północnej stronie szczytów tatrzańskich należały od wieków do Polski i należą teraz do Galicyi — zwrócili uwagę naczelnika rządu węgierskiego na polityczną stronę tej sprawy, na oburzenie, wywołane w narodzie polskim przez roszczenia węgierskie do własności połowy Morskiego Oka i okolicy przyległej i przez kroki, dążące do zmiany granicy odwiecznej między krajem polskim a węgierskim. Prezes ministrów przedewszystkiem podziękował uprzejmie delegatom polskim, że się do niego udali w tej sprawie, gdyż rząd węgierski pragnie utrzymać jak najlepsze stosunki z Polakami wprawdzie nie zna dokładnie tego sporu granicznego, bo sprawą tą zajmował się dotąd wyłącznie minister sprawiedliwości p. Szilagyi, ale on także będzie się starał o rychłe i sprawiedliwe jej załatwienie.

Kongres. W Rzymie odbędzie się 25 września XI międzynarodowy kongres lekarski.

„Sokół". Mający zamiar wziąć udział w wycieczce do Inowrocławia, zechcą się wpisać w biurze Towarzystwa, najdalej do 28 b. m. włącznie.

Wystawa róż i kwiatów, którą zamierza urządzić gal. zjednoczone Towarzystwo dla ogrodnictwa i pszczelnictwa, odbędzie się dopiero w dniach 9, 10, 11 lipca b. r. w ogrodzie botanicznym we Lwowie. Odroczenie terminu wystawy okazało się koniecznem z powodu opóźnienia się kwitnienia róż w tym roku.

Festyn. Pani wiceprezydentowa Marchwicka krząta się gorliwie około urządzenia festynu na rzecz korpusów wakacyjnych, których gorliwą jest protektorką. Festyn ten odbędzie się we czwartek dnia 29 b. m. w parku Kilińskiego. Program tej zabawy jest bardzo urozmaicony, dla publiczności przygotowano wiele miłych niespodzianek, to też nie wątpimy, że wszyscy we czwartek pospieszą do parku, aby dobrze się zabawić, a nadto groszem swym przyczynić się do pomnożenia funduszów tak sympatycznej instytucyi jak korpusy wakacyjne. Uczestnicy festynu oprócz udziału w zabawie będą mogli zwiedzić także plac przyszłorocznej wystawy i obejrzeć prace przygotowawcze do niej, będące już — jak wiadomo — w pełnym toku, bilet bowiem kupiony w tym dniu dla zwiedzenia placu wystawy będzie upoważniał także do wstępu na festyn w parku Kilińskiego.

Co znaczy przypadek. Donieśliśmy wczoraj o schwytaniu sprawcy kradzieży spełnionej we Wiedniu w mieszkaniu Pfeifra na Schottenhofie. Jest nim niejaki Alojzy Gröschl (właściwie Groschl), liczący lat 22, urodzony w Krainie, osiadły jednak stale od lat młodzieńczych we Wiedniu. Sprawcę kradzieży spełnionej u Pfeifra udało się policyi wiedeńskiej odkryć tylko przypadkowo. Gdy mianowicie w mieszkaniu okradzionem, którego właściciel Pfeifer, bawił na świeżem powietrzu, wybuchł ogień i straż pożarna takowy ugasiła, policya zawiadomiła natychmiast Pfeifra o wypadku, który przybył na miejsce i skonstatował, iż został okradzionym. W szafce znajdowało się 8 par czystych manszetów, a w nie włożona para brudnych. Widać więc, iż sprawca wykonując swą operacyę, zdjął manszety i może zapomniał zabrać je następnie ze sobą. Pfeifer skonstatował w obecności komisarza, że owe brudne manszety nie są jego, wobec czego policya spostrzegła, że one tylko są jedyną nitką prowadzącą do wykrycia sprawcy. Manszety bowiem posiadały numer 3824 wyciśnięty w pralni, dokąd dawane były do prania. W tej chwili wysłano z ramienia policyi ajentów do wszystkich pralń celem zbadania, kto daje do prania bieliznę opatrzoną powyższym numerem. Dowiedziano się, że numerem tym pralnia Müllera w Döblingu znaczyła bieliznę, otrzymaną od niejakiej pani Fryderyki Bolz, zamieszkującej na Hirschengasse, że bielizna, względnie manszety i kołnierzyki należą do mężczyzny, odnajmującego od pani Bolz pokój. Natychmiast udał się za temi wskazówkami komisarz policyi do mieszkania Bolzowej i od niej dowiedział się, iż odnajmuje pokój niejakiemu Gröschlowi, agentowi handlowemu, człowiekowi bardzo porządnemu. Gröschla podówczas w domu nie było. Dom, w którym zamieszkiwał Gröschl strzeżono. Kiedy około godziny $9\frac{1}{2}$ wieczorem wracał do domu został ujęty i natychmiast odstawiony do dyrekcyi policyi śródmieścia.

Rewizya dokonana w pokoju przezeń zamie-

Działo się w Indykowie przed niewielu laty.
Raz, dwóch słomianych wdowców, łysy i pękaty,
Postanowiło sobie dać folgę swobodzie;
Więc poszli lornetować piękności w ogrodzie,
A ztamtąd do ustronia pod „Wroną" czy „Sroką"
Zasiedli przy stoliku, wygodnie, szeroko,
I winko pociągając rozkosznie patrzyli,
Jak miss Fanny, miss Lola, miss Katy, miss Lili
Podkasaną spodniczką i figlarną nogą
Wabiły czułe serca. I było im błogo,
Tak błogo, że uznali za konieczną racyę
Miss Fanny i miss Lolę prosić na kolacyę.
Stało się, jako chcieli; po niewielkiej chwili,
Garsony kolacyjkę sutą zastawili,
A dwóch słomianych wdowców i dwie gołębice
Świetnie zmiatali raki, pasztet, polędwicę...
Podlewając koniakiem, węgrem i szampanem.
I czas leciał jak strzała; wszelako nad ranem
W mózgach przyjaciół naszych, mimo animuszu,
Zaczęła sobie siadać myśl o — Morfeuszu.
A gdy przytem wesołe i praktyczne panny,
Z jednej strony miss Lola, a z drugiej miss Fanny,
Uczyniły giest jeden i drugi zbyt śmiały,
I do słomianych wdowców zbyt się przysiadały,
Idylla niespodzianie dziwny obrót bierze:
Bowiem ni ztąd, ni zowąd, dwaj nasi rycerze
Zaczynają coś stękać i wzdychać głęboko.
Jednego ząb rozbolał, a drugiego oko!
Więc zdekoncertowane przepraszają divy,
Wstają, płacą rachunek i dosyć szczęśliwy,
Kontra-marsz urządzają w stylu Ksenofonta.
Na ratuszu godzina wybijała piąta,
Gdy poczciwe słoneczko, różowo wschodzące,
Ujrzało ich postacie, wstydliwie sunące
Ku domowym ogniskom, gdzie jakby po wojnie
Znużeni — legli; spali wszakże niespokojnie;
Śnili, że umykają w pantoflach przez pola,
A za nimi miss Fanny pędzi i miss Lola.

Taki był koniec rzeczy. Że zaś ich widziano
Przy onych gołębicach, więc nazajutrz rano
W biurze, a potem w klubie ten i ów znajomy
Prześladował ich, zowiąc mężami Sodomy.
Bronili się szlachetnie; wszelako ich mowa
O Sodomie nie była bardzo szczegółowa.

. . . .

Po tym pięknym obrazie nic mi nie zostaje,
Jak zakończyć uwagą, jako obyczaje
Naszych słomianych wdowców są jak się należy.
A gdyby który z zacnych, słomianych rycerzy
Uczuł się pokrzywdzonym tutaj na honorze,
To mu na to odpowiem: Broń mnie Panie Boże,
Bym miał kogo obrazić. Nie jestem uparty;
Niech będzie, że to wszystko com napisał, żarty,
Jakkolwiek utrzymuję, że to prawda szczera.
Tak, powtarzam, nie tęga to wcale afera
Zostać słomianym wdowcem. Bowiem mąż bez [żony
Jest jako liść jesienny, wichrami miecиony;
Chwilę małą koziołki w powietrzu wywraca,
Ale wnet na bruk spada, gdzie go czeka praca
Codziennego żywota, i troski i znoje...
Które samemu dźwigać ciężko—lżej we dwoje.

. . . .

Żegnam cię a i proszę, wybacz, Redaktorze,
Za ten list dość dziwaczny. Jestem w złym [humorze
Z powodu... ach, powodów mam dość oczywiście.
Może powiem ci który, lecz w następnym liście.

. . . .

A jeśliby dzisiejszy list mój był ostatni,
Westchnij. — Ciężko mi bracie w tej społe- [cznej matni.

M. Rodoć.

szkiwanym, wydała plon obfity. Znaleziono obok gotówki bardzo wiele przedmiotów, pochodzących z kradzieży, kosztowności ubrania, kasetki, dywany, bieliznę i t. p. Gröschl przesłuchany przyznał się, iż popełnił kradzież u hrabiny Kaunitz i wdowy po radzcy dworu Duchekowej. Chodziło mu o zapewnienie sobie przyzwoitej egzystencyi. Wybierał zawsze mieszkania zamożnych ludzi, którzy wyjeżdżali na świeże powietrze. Że właściciele danego mieszkania nie byli we Wiedniu obecnymi, poznawał po tem, iż żaluzye w oknach były spuszczone. Do mieszkań dobierał się zapomocą kluczów, wytrychów i t. p. W mieszkaniach tych, które okradał, bywał po kilka razy dziennie. Nie brał wszystkiego, tylko to, co przedstawiało większą wartość. Miał spisane adresy pomieszkań, które miał zamiar okraść. Spełniać miał tego rodzaju operacye tylko do czasu, gdyż chodziło mu o zebranie odpowiedniego kapitału, o ożenienie się, a następnie otwarcie jakiego interesu.

Gröschl żył skromnie, z pieniędzy pochodzących z kradzieży bardzo mało wydawał na swe utrzymanie.

Zjazd delegatów powiatowych wystawy krajowej z Galicyi wschodniej odbył się wczoraj pod przewodnictwem ks. Adama Sapiehy. Zjazd był bardzo liczny, a ze sprawozdań delegatów poznać można było, że cały kraj zajmuje się żywo tem pięknem dziełem i że wiele powiatów rozwinęło już bardzo energiczną działalność. Najwięcej zdziałał dotychczas powiat kałuski, reprezentowany na zjeździe wczorajszym przez p. Komornickiego, jemu też gorąco podziękował dyrektor wystawy p. Marchwicki, wyrażając przekonanie, że gdyby inne powiaty poszły za przykładem kałuskiego, wówczas przyszłoroczna wystawa dałaby świetne rezultaty. Delegat z Podola p. Vivien zapowiedział, że powiaty: skałacki, trembowelski i tarnopolski własnym kosztem postawią całą zagrodę włościańską z wewnętrznem urządzeniem i pięknymi szczegółami etnograficznymi. Obszernie omawiano sprawę urządzenia działu etnograficznego i łowieckiego. Referent sekcyi etnograficznej p. Szukiewicz wykazywał, że wobec skromnej kwoty 12.000, jaką Dyrekcya mogła przeznaczyć na urządzenie tego działu, musi sekcya ograniczyć się do rzeczy najniezbędniejszych. Wszelako, jeżeli obywatele przyjdą z pomocą dyrekcyi przez wypożyczenie ubiorów i innych okazów etnograficznych, wówczas i ten dział reprezentować się będzie wspaniale.

P. Józef Skarbek Borowski poruszył sprawę urządzenia wystawy koni włościańskich i wzywał delegatów, aby zachęcali włościan do wzięcia jak najliczniejszego udziału w wystawie. Dotychczas zgłoszono na wystawę 300 koni włościańskich, wszelako sekcya ma nadzieję, że zbierze się ich 700 do 800. Następnie zawiadomił p. Borowski zebranych, że komitet dla spraw chowu koni uchwalił udać się do ministerstwa z prośbą, aby w roku 1894 premiowanie koni nie odbyło się w całym kraju, ale tylko na wystawie lwowskiej i aby rząd wyznaczył na ten cel znaczniejszą subwencyę.

Następnie hr. Szembek przedstawił, co zrobiono dotychczas około urządzenia działu łowieckiego i podniósł, że dział ten będzie jednym z najbardziej zajmujących na całej wystawie. W końcu zdawał p. Brykczyński szczegółowo sprawę z przygotowań, jakie poczyniono około urządzenia wystawy bydła, poczem zamknięto obrady.

Wieczorem odbył się w domu pp. Marchwickich raut na przyjęcie pp. delegatów.

Z Żydaczowa donoszą: Ks. metropolita Sembratowicz przybył w dalszym ciągu swej podróży do Rudnik i tam w cerkwi wyświęcał na kapłana dyakona Tomasza Borodajkiewicza. Następnie zwiedził ksiądz metropolita cerkwie w Kijowcu, Demence, Iwanowcach, Cucyłowcach, Międzyrzycach, a w środę przybył do Żydaczowa. Wszędzie przyjmowano ks. metropolitę z wielką uroczystością. Najwspanialsze przyjęcie zgotowano mu w Żydaczowie, gdzie przy bramie tryumfalnej powitali dostojnego księcia Kościoła: duchowieństwo ruskie i łacińskie, starostwo, sąd, Rada powiatowa i miejska, nauczyciele z dziećmi i kahał. W Iwanowcach powitał ks. metropolitę marszałek powiatowy p. Winnicki, właściciel Turek i Iwanowic. Także przybyła na powitanie czcigodnego gościa pani Winnicka z córeczkami, które od bramy aż do cerkwi rzucały kwiaty pod stopy ks. metropolity. Przejeżdżając przez Turady ks. metropolita złożył wizytę pp. Winnickim.

Z wystawy sztuk pięknych. Oprócz „Portretu Arcyksięcia Leopolda Salwatora“, pędzla Jana Styki, który dzisiaj umieszczono w środkowej sali naszej wystawy i to na bardzo krótki czas, przybyły do działu portretów dwie prace artysty Damazego Kotowskiego, mianowicie „Portret Dr. F.“ i „Portrety trojga dzieci“. Nadto wystawiono także zapowiedziany cykl obrazów Czesława Jankowskiego, złożony z ośmiu kartonów, przedstawiających „Sen“, oraz tegoż artysty rysunek „Gwiazdka“. Z Warszawy nadesłali artysta Popowski większych rozmiarów obraz „Na pastwisku“. Z Monachium zaś nadesłali: Bratkowski „W parku“, Łasiński „Zima“, Rozwadowski dwie prace „W parku“ i „Adjutant z 31 r.“, Schmarbench „W węgierskiej karczmie“, Skontek dwa „Krajobrazy“, Tepa Bruno „Studium“ akwarelę i Zuber Juliusz „Kołomyjkę“.

Klęski powiatu rzeszowskiego. Otrzymujemy następującą korespondencyę: Smutne posyłam nowiny. Rzeszowski powiat w tym roku poniósł trzykrotną klęskę! Powiat ten składa się z pasma gór, przedzielonych dolinami. Zimową porą mróz był wielki, a kilkakrotne zamiecie zniosły śnieg z gór w doliny; z tego powodu w górach żyto wymarzło, a w dolinach wymokło. Kwiecień był zimny, jarzyna długo nie wschodziła; ziarno leżało po kilka tygodni w ziemi, więc się psuło. Zresztą w maju w równinach ozimina i jarzyna były znośne; w górach zboże było gorsze.

Od 1go do 10go czerwca lał deszcz bez przestanku dzień i noc; wszystkie strumyki i ruczaje wyszły z brzegów, zamuliły łąki i powymywały grzędy. San wzburzony, groził wylewem; wylał nawet na kawał łąki i część gruntu zasianego. We wtorek 20go czerwca w południe lunął deszcz i w przeciągu 10 minut wszystkie doliny przeistoczyły się w rzeki, a woda gwałtownie poniosła skoszone siano do Sanu. Liczne potoki powymywały kapustę i jarzynę w nizinach. Deszcz powalił zboże i popsuł wszystkie gminne drogi.

W Jaworniku Polskim nawalnica i wicher zburzyły kilka domów. Powiadano mi dziś, że wicher w Jaworniku przerzucił jedną dziewczynę przez dom. Za pewność tej wiadomości nie ręczam, — zapewne jednak jakieś nieszczęście spotkało ową dziewczynę.

Ze Stanisławowa nam piszą: Przed kilkoma dniami opuścił gród nasz p. Antoni Giełdanowski, urzędnik filii austro-węgierskiego banku, przeniesiony do filii tegoż banku w Tarnopolu. W ciągu czteroletniego pobytu wśród nas, p. Giełdanowski zjednał sobie wszystkich i ogólną pozyskał sympatyę nietylko niezwykłą uprzejmością i zaletami towarzyskiemi, lecz w nierównie wyższym stopniu swą niezmordowaną pracą i ofiarnością na rzecz dobra ogólnego. Czynny w wielu z tutejszych stowarzyszeń poświęcał każdą chwilę wolną od licznych i pełnych odpowiedzialności obowiązków służbowych i znaczną część niejednej nocy dla dobra i rozwoju tych stowarzyszeń. Pełen inicyatywy dążył wytrwale do wytkniętego celu, nie tracąc go na chwilę z oczu, nie dając się odstraszyć chwilowem niepowodzeniem, lub zniechęcić oporem jednostek i umiejąc przytem słowem i przykładem zachęcać innych do współdziałania.

W pierwszym rzędzie zawdzięcza p. Giełdanowskiemu swój rozwój istniejące w naszem mieście towarzystwo dam dobroczynności, którego przez długi czas był najpierw sekretarzem, następnie wiceprezesem. Jego to zasługą, że Towarzystwo pomimo szczupłych dochodów mogło w tak szerokiej mierze spełniać swoją dobroczynną działalność, jak to w ostatnich dwóch latach miało miejsce, głównie przez udzielanie miesięcznych stałych zapomóg ubogim, wstydzącym się żebrać i przez utrzymywanie własnym kosztem herbaty ludowej.

Z jego to inicyatywy powzięło to towarzystwo przed kilku miesiącami myśl wybudowania tutaj domu, w którym około 60 starców i kalek znalaźćby mogło stały przytułek i utrzymanie i jego usiłowaniom zawdzięczyć należy, że w obecnych tak ciężkich dla każdego czasach niekorzystnie wpływających na ofiarność publiczną, zdołano zebrać dotychczas przeszło 2000 złr. na cel tej budowy, głównie z drobnych składek.

To też żal powszechny wywołała wiadomość o jego przeniesieniu, tracimy w nim miłego i serdecznego towarzysza, a ubodzy prawdziwego opiekuna, zawsze gotowego do pomocy i ulżenia im w ich biedzie. Szlą mu oni na pożegnanie łzy wdzięczności i szczere „Bóg zapłać!“

„Wianki“. Uroczyste puszczanie wianków na Wiśle odbyło się w Krakowie przy sprzyjającej pogodzie. Urządzeniem obchodu zajął się „Sokół“ tamtejszy. Oba brzegi Wisły roiły się od tłumów ludzi. Dwie orkiestry i silny chór „Sokoła“ na pięknie udekorowanym galarze, mnóstwo łodzi oświetlonych na ciemnem tle nocy i malownicze ognie sztuczne składały się na obrazek jakby z bajki wyjęty. Pieśni narodowych słuchała publiczność z odkrytemi głowami.

Egzamin na lekarzy powiatowych zdali w połowie maja rb. w Krakowie: dr. Feliks Gliksman, lekarz z Budzanowa; dr. Wiktor Idziński, lekarz pułkowy z Krakowa; dr. Stanisław Karpiński, asystent katedry anatomii opisowej w uniwersytecie jagiellońskim; dr. Tadeusz Teodorowicz, lekarz pomocniczy szpitalny ze Lwowa, i dr. Grzegorz Turzański, lekarz miejski z Jarosławia.

Romans angielski. Znany pisarz angielski, Fryderyk Barrison, umieścił w amerykańskim miesięczniku „Forum“ interesujące studyum o upadku romansu we współczesnej literaturze angielskiej, która jego zdaniem, nie posiada obecnie ani jednego powieściopisarza, posiadającego wszechświatową sławę. „Jeden — pisze Harrison — jest zbyt ekscentryczny, drugi zbyt nerwowy lub odtwarzający koloryt miejscowy, fantastyczny, tamten znów zanadto realistyczny. Wprawdzie krytyka ich chwali, przyjaciele zachwycają się, znawcy delektują, ale szeroka publiczność nie zna ich prawie. Zresztą zjawisko to daje się zauważyć i w innych gałęziach sztuki. Mamy tysiące dobrych wierszopisów, ale ani jednego poety, nie brak zręcznych i wykwintnych malarzy, ale między nimi nie ma prawdziwego artysty, w teatrze wyborne dekoracye i kostyumy, ale nie spotkasz wielkiego aktora“. Jako objaśnienie do tego sądu, Harrison dodaje: „W miarę rozwoju cywilizacyi znika oryginalność artystyczna. Wszyscy stajemy się tak podobni do siebie, że wszystkie charaktery ekscentryczne przyuczają się do kontrolowania samych siebie i miarkowania swych wybuchów. Wzrost kultury podniósł ogólny poziom, ale wywołał natomiast zanik talentów. Codzień kształcimy smak, lecz jednocześnie wysuszamy mózg i serce. Zajmujemy się krytyką, wskutek tego staliśmy się jednostajnymi i do niemożliwości nudnymi. Gdyby obecnie pojawił się nowy Dickens ze swemi przygodami Pikwika, okrzyczanoby go zwykłym farsiarzem. Bohaterowie „Ostatnich dni Pompei“ Littona uchodziliby teraz w oczach krytyków za typy, wycięte ze starych melodramatów“.

Samobójstwo. Z okna drugiego piętra, domu przy ulicy Trzeciego Maja l. 5, skoczyła wczoraj po południu na dziedziniec służąca Katarzyna Żukowska i natychmiast wyzionęła ducha. Zmarła od dawna cierpiała na manię prześladowczą i to było przyczyną samobójstwa.

Zmarli. Ks. Ignacy Hubczak, gr. kat. dziekan i proboszcz kałuski, umarł w 60 roku życia, a 37 roku kapłaństwa. — Ks. Józef Kruszyński, gr. kat. proboszcz w Dobrosinie koło Żółkwi, umarł w 80 roku życia, a 56 roku kapłaństwa. — Łucya z Terleckich Stonawska, żona emerytowanego dyrektora kameralnego, umarła w Sierpnicy, w powiecie dembickim, przeżywszy 65 lat. — Tomasz Wołek, przeżywszy 77 lat, umarł w Krakowie. — Anna z Warszewiczów Garbaczyńska, żona adjunkta sądowego w Pilznie, umarła w 34 roku życia. — Ferdynand Bissacchini, emerytowany starosta, pamiętny rolą odegraną w roku 1863, umarł w Tarnowie.

Stan powietrza. Termometr + 14° Reaumura o godzinie 7 zrana, w południe tylko + 12 stopni Reaum. Barometr 762. Idzie w górę. Deszcz.

Humor amerykański.

— Przypominasz sobie ten piękny, złoty zegarek, który zgubiłem pięć czy sześć lat temu?

— Przypominam.

— Pamiętasz, jak szukałem go wszędzie i nie mogłem znaleźć?

— Pamiętam.

— Wyobraź więc sobie: wczoraj sięgam do kieszeni kamizelki, której już kilka lat nie miałem na sobie, i znajduję...

— Zegarek! Winszuję.

— Gdzietam! Dziurę, przez którą widocznie zegarek wyleciał mi z kieszeni.

* * *

Einstein. Słuchaj, Levi, czy twój zegarek się spóźnia?

Levi. Tak, pięć procent na miesiąc.

(*Exchange*).

* * *

Ojciec. Po ślubie zapewne widzisz świat w innem świetle?

Córka. Nic dziwnego, otrzymałam przecież od rodziny w podarunku 14 lamp i 9 kandelabrów!

(*Puck*).

Korespondencya Administracyi. *WP. Herbst w Pomorzanach.* Żądane numera z marca są wyczerpane.

Teatr. Dziś we wtorek w teatrze letnim: „Dziesięć dni w Pireneach“, wodewil w 5aktach L. Varney'a. — Jutro we środę w teatrze hrabiego Skarbka: „Żywy posąg“, obraz dramatyczny w 6 obrazach Teobalda Cigoniego. Występ panny Marcello.

Jutro we środę w teatrze letnim produkcye magiczne Chevaliera Thorna.

Literatura i Sztuka.

* **Władysław Bełza.** „Dobry syn“, bajka z przed lat tysiąca. Wydanie trzecie (ogólny nakład trzech wydań wynosi 15.000 egzemplarzy). Lwów. Nakładem „Macierzy polskiej“.

Któż z nas w długie wieczory zimowe, gdy po czarach wiosny i upałach lata, gdy po owocodajnej jesieni zagrają ponad głowami naszemi wichrem zimowe zamiecie, a świat się osłoni szeroką szatą śnieżystą, nie siedział przy kominku w świetlicy i nie słuchał cudownych opowiadań piastunek lub starych prządek, co to kręcąc w palcach nić szarą, długą a równą, snuły różnych powieści ilość nieskończoną. Mogłeś tam słyszeć o cudownym młynie, o dzielnym chłopcu, który w noc świętojańską szedł szukać paproci, o ognistych smokach, o dyabłach kulawych itp. Czasy to miłe i każdemu trwale w pamięci wyryte.

Z bajek tych, podsłuchanych u prządek, p. Wł. Bełza wziął temat do swego opowiadania i skreślił prześliczną opowieść dla dzieci. Kto wie, jak ten serdeczny poeta kocha dzieci i jak sercem pisać dla nich umie, ten pojmie łatwo, że „Dobry syn“ prawdziwym jest klejnocikiem. Prostą bajeczkę, zasłyszaną w młodych latach, opowiedział w barwnych słowach swym młodym przyjaciołom, dzieciom, i wysnuł dla nich opowieść o dobrym synu, który kochając swą leciwą matkę, szedł dla niej po zdrój żywej wody za siódmą górę, za dziewiątą rzekę, pokonywał wszelkie przeszkody, nie bał się smoków, czarownic ni zbójców, wyrzekł się bogactw i królewskiej łaski, lecz cały przejęty gorącą miłością dla matki, szedł tylko naprzód, byle jak najprędzej dotrzeć do końca, do żywego źródła, i nabrawszy w dzban ożywczej wody, matce swej starej przywrócić zdrowie. Śliczna to bajka, warta przeczytania.

W przedmowie do „Dobrego syna“ zaznacza autor, że jest na świecie wiele rzeczy godniejszych uwagi i stokroć ciekawszych od owej bajki, ale sądzi, że i bajki powinny być poszanowane, chociażby dlatego, że od tak dawna przechodzą z ust na usta i żyją wśród ludzi. Zresztą w każdej bajce kryje się na dnie jakaś utajona prawda, którą dlatego tylko w pozory bajki przybrano, aby w ten sposób ułatwić jej przystęp do ludzi. Tak i z tej bajki głęboki morał się wysnuwa. Jak dobry syn w bajce niczem się nie straszy, wszystkiego się wyrzeka, by przynieść pomoc swej leciwej matce, tak samo każdy z nas — młody czy stary, silny czy słaby — powinien iść w jego ślady i niczem się nie straszyć, wszystkiego się wyrzec a wszystko poświęcić naszej drogiej, srogimi bolami znękanej matce-Ojczyźnie.

Opowiadanie to jest napisane językiem pięknym, jędrnym, dostępnym do serc dzieci, stylem potoczystym, a jest owiane taką serdeczną szczerością, z jaką tylko p. Bełza pisać umie dla dzieci. To też książeczka ta rozeszła się tak licznie, jak dotąd niewiele polskich książek. Wybito już jej trzecie wydanie, bo dwa (przeszło 10.000 książeczek) zupełnie wyczerpane. „Macierz polska“ dumną być może, iż wydała książeczkę tego poety, książeczkę bardzo piękną, gdy taką wziętość wśród ludzi znalazła. Mamy nadzieję, że i trzecie wydanie wkrótce się rozejdzie, boć prawie nie ma lepszej książeczki na nagrody dla pilnych i dobrze uczących się dziatek. Książeczka ta jest do tego najodpowiedniejszą, to też wszystkie szkoły o nią postarać się powinny. Cena jej niewielka a pożytek znaczny. Autorowi jej należy się podzięka, że tak ładną rzecz dla dzieci stworzył.

Głosy publiczności.

Dalszy ciąg składek na restauracyę macierzy Franciszkańskich kościołów w Krakowie.

Tercyarze z Przewrotnego 2 zł. 55 ct., pp. Paluszkiewicz z Krakowa i ks. kanonik Szwarc z Ruszczy po 5, X. Słowikowski i X. Józef Hajda po 5 mszy św., X. Wajda 20 mszy św., Tercyarze z Gronkowa, X. J. Łobczowski, Anna Gorlinika, Regina Jaglarz i dr. Serafiński z Bochni po 2, Paulina Frankowska 6 marek, Maciej Dembiński 11 marek, X. Bonawentura Drużbacki z Jozeffalva 50 mszy św., Koczara, Niedworak, Magdalena Radwanik i J. J. po 1, Wojciech i Julianna Wajdowie z Krakowa 50, Wł. Szafrański z pod Wadowic 50, składka ze Żmujdzi 60 rubli, J. Florkiewicz z Młoszowy 10, X. Jan Drzewicki 15 mszy św., X. Wojciech Dudziński z Gilowic 20 mszy św.

Wszystkim łaskawym dobrodziejom niech Pan Jezus zapłaci. Kraków dnia 1 czerwca 1893.

X. Samuel Rajss, gwardyan Franciszkanów.

Sport.

Wiener Sportsman, zdając sprawę z wyścigów krakowskich, pisze:

„Co roku tor krakowski pięknieje i wyścigi tamtejsze podnoszą się, a hrabiowie Roman, Andrzej i Józef Potoccy, Ludwik hr. Krasiński i Stefan hr. Zamoyski, którzy są duszą tamtejszych wyścigów, równie jak sekretarz wyścigów p. Zygmunt Meciszewski, zasługują na wdzięczność wszystkich tych, którym na sercu leży podniesienie instytucyi wyścigów konnych, za niestrudzone starania i pożyteczną działalność.

„W roku bieżącym wszystko składało się na to, aby trzydniowy zjazd wyścigowy w starym grodzie Jagiellonów był jak najświetniejszy. Prześliczna pogoda (z wyjątkiem trzeciego dnia) sprowadziła tłumy widzów. Damy, które w Galicyi bardzo popierają sprawę wyścigów konnych, pojawiły się w przepysznych letnich strojach, i w ogóle tor wyścigowy zgromadził liczną elegancką publiczność. — Tor sam był doskonały, a co do wyścigów zarzucić tylko można, że do poszczególnych biegów za mało stawiło się zapaśników, z wyjątkiem biegów z przeszkodami i oficerskich. Za to prawie wszystkie biegi były zajmujące i zakończone po większej części zaciętą walką.

„W tem jednem tylko było rozczarowanie, że właściciele koni z Królestwa polskiego, na których udział Towarzystwo krakowskie już z patryotycznych względów liczyć mogło, oprócz jednego (p. S. Sonnenberga) nie poprzysyłali wcale koni, tak iż międzynarodowe piętno zjazdu krakowskiego zupełnie się zatarło.

„Dziwna też, że biegi dostępne wyłącznie koniom chowu galicyjskiego bardzo szczupłym cieszyły się udziałem, ba nawet w nagrodzie rzeszowskiej jedna tylko klacz obiegła sama szranki.“

Kończąc sprawozdanie, wspomina wymieniony dziennik, że „Corso kwiatowe było bardzo ożywione, a wytworne stroje dam z arystokracyi galicyjskiej dodawały mu blasku.“

* * *

Na zjeździe wyścigowym w Hamburgu konie austro-węgierskie nie miały szczęścia. Dnia 18 bm. w pierwszym zaraz biegu Laury hr. Hencklowej ogier gniady 3letni „Germane“ został pobity. W biegu o nagrodę Potrimposa, jen. Kodolitscha 2letni ogier „Hendrik“ między czterema końmi był trzecim. Nazajutrz (19 bm.) w biegu dwulatek Laury hr. Hencklowej klacz „Bea“ była czwarta. Nakoniec w wielkiej nagrodzie hanzeatyckiej (Grosser Hans-Preis) jenerała A. Kodolitscha sławny 4letni ogier „Espoir“ zdołał być zaledwie drugim. Nagroda ta wynosi 25 000 marek.

* * *

Sprostowanie. W rubryce „Sport“ w nr. 140 *Przeglądu* z dnia 21 bm. w sprawozdaniu z ostatniego dnia wyścigów w Wiedniu 11 bm. mylnie wydrukowano nazwisko konia, który wygrał nagrodę metropoli, „Capitaine“, powinno być „Kapitan“.

Dalej mylnie wydrukowano, że drugi koń był własnością p. Szemeryego; gdyż właściciel nazywa się nie Szemery, lecz Szemere.

Dalej w sprawozdaniu z wielkiej nagrody paryskiej mylnie wydrukowano nazwisko „Guyot“ zamiast „Gayot“. Nakoniec totalizator nazywa się Pari mutuel, a nie Paris mutuel.

Telegramy „Przeglądu“.

Paryż 27 czerwca. „Ajencya Havasa“ donosi, że ambasador francuski w Wiedniu p. Decrais mianowany został ambasadorem w Londynie.

Korneliusz Herz, ów głośny bohater skandalu panamskiego, umarł wczoraj.

Otwarto tu międzynarodowy kongres kryminalistyczny.

Na wczorajszem posiedzeniu komisyi cłowej oświadczył minister spraw zagranicznych Develle, że nawiązał jeszcze przed kilku miesiącami rokowania z Austro-Węgrami w sprawie zniżenia cła od win francuskich.

Londyn 27 czerwca. Do „Biura Reutera“ donoszą z Mekki, że wczoraj umarło tam na cholerę 455 osób. Na jednym ze statków, który płynął z Francyi i zawitał do jednego z portów angielskich, skonstatowano, że palacz umarł na cholerę.

Wrocław 27 czerwca. Wczoraj otwarto tu kongres lekarzy niemieckich.

Belgrad 27 czerwca. Skupczyna zgodziła się na przedłużenie budżetu uchwalonego na obecny rok budżetowy, kończący się 30 czerwca, po koniec roku kalendarzowego.

Tulon 27 czerwca. Wczoraj umarło w mieście tutejszem pięć osób na cholerę, za rogatkami zaś umarły trzy.

Raguza 27 czerwca. Wczoraj odbyła się tu uroczystość odsłonięcia pomnika największego poety dalmatyńskiego Iwana Gundulicza. Już przedwczoraj przybyło tu wiele odświętnie przystrojonych parowców z gośćmi z Dalmacyi, Kroacyi, Bośnii i Serbii. Wieczorem przybył namiestnik Dalmacyi jenerał Dawid i doznał ze strony ludności entuzyastycznego przyjęcia. Wczoraj rano przybyły w uroczystym pochodzie deputacye włościan z okolic Raguzy. O godzinie 9 rano odbyło się nabożeństwo, poczem odsłonięto pomnik. Mowy wygłosili prezes komitetu pomnikowego Giorgi, i burmistrz Gondola, aktu poświęcenia pomnika zaś dokonał biskup sufragan. U stóp pomnika złożono mnóstwo wieńców, między innemi wieniec od króla serbskiego. Po południu odbyły się zabawy ludowe, wieczorem zaś galowe przedstawienie w teatrze.

(Iwan Gundulicz urodził się w Raguzie w r. 1588, a umarł w 1638. Przetłumaczył on Tassa „Jerozolimę wyzwoloną“ i napisał wiele klasycznych utworów, jak „Dubrawka“, „Ariadna“, „Prozerpina“. Najznakomitszem jego dziełem i w ogóle najznakomitszem w całej południowo-słowiańskiej literaturze jest epopea w 20stu pieśniach p. t.: „Osman“ opisująca wojnę sułtana Osmana II z Polakami i bitwę pod Chocimem. *Przyp. Red.*).

Berlin 27 czerwca. Do dziś godziny 6-tej rano wiadomy był rezultat wyborów ściślejszych w 166 okręgach. Wybrano 25 konserwatystów, 10 kandydatów t. z. „Reichspartei“, 35 nacyonalliberałów, 10 z wolnomyślnej frakcyi Rickerta, a 19 z frakcyi Richtera, 7 kandydatów południowo-niemieckiej partyi ludowej, 9 z centrum, 7 Polaków, 14 antysemitów, 20 socyalistów, 7 Welfów i jednego opozycyonistę z Alzacyi. Polacy mają obecnie 19 mandatów, t. z. o 4 więcej, aniżeli w ubiegłej kadencyi. Okręg bydgoski wybrał po raz pierwszy Polaka.

Londyn 27 czerwca. Według ostatnich wiadomości, Herz nie umarł jeszcze ale dogorywa.

Przyjechali do Lwowa

dnia 27 czerwca 1893.

HOTEL IMPERIAL. W. hr. Zamoyski i Z. Meciszewski z Krakowa. M. Kise z Budapesztu. Z. Trzecieski z Dynowa. J. Bogdanowicz z Bogdanówki. W. hr. Starzeński z Rosyi. Z. Gumiński z Tłumacza. W. Polański z Dublan. M. Janosz z Czerniowiec. Bar. Rothwiller z Paryża. M. Skrzyńska z Żurawna. M. Jaruntowska z Załanowa. T. Żurowski z Brzeska. J. Penkner z Gaj morawskich.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie.

W nieszczęściu, które nas spotkało w Stryju 20 czerwca br. ulgą prawdziwie było okazane współczucie przez tak liczny współudział w oddaniu ostatniej posługi śp. Bronisławowi Fihauserowi. Nie mogąc inaczej okazać naszej wdzięczności, **składamy** niniejszem **wszystkim łaskawym P. T. uczestnikom** żałobnego obrzędu **najszczersze** z głębi serca wychodzące **„Bóg zapłać“.**

Bruśnik 25 czerwca 1893.

Pozostała rodzina.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 26 Czerwca godz. 2. min.

Akcye kred.	339·75	Galicyj. obligi propinacyjne	98.—
Alpiny	54.—	Wied. losy	178 50
Kredyty węg.	415·—	Akcye tyton.	183·—
Anglobanki	150·—	4% Poż. kraj. z r. 1893	96.20
Uniony	257·15	Elbethale	237·25
Ludwiki	218·25	Länderbanki	250 20
Nordbany	295·75	Renta zł. węg.	116 25
Lombardy	106·25	Bankvereiny	122·—
Losy tureckie	50·35	Węg. renta p.	94·92
Staatsbahny	307·15	Ruble	1.29·25
Czerniowieckie	258·—		

Usposobienie silne.

Lwów. Z Izby handlowej 27 czerwca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.		płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud.	200 zł. w. a.	216	75	219	75
„ Lwow.-czer.-jass.	200 zł. w. a.	256	50	259	50
Banku hipotecz. galic.	200 zł. w. a.	375	—	—	—
„ kredyt. galic.	200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.					
Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40		101	20	101	90
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.		110	10	110	80
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.		100	—	100	70
Banku krajowego 4½% wa.		100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya		98	50	—	—
„ „ „ 4% „ 41½		98	25	—	—
„ „ „ 4½% „ 52 lat		100	—	100	70
„ „ „ 4 „ 56 lat.		98	50	—	—

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 czerwca 1893 według zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Z Krakowa	3.08	6·01	9·36	**6·36**	**9·41**
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów (tylko od 1/7 do 31/8 włącznie).	—	—	9·36	—	—
Z Muszyny - Krynicy i Chabówki via Tarnów	—	—	—	—	**9·41**
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów lub Rzeszów (tylko od 25/6 do 15/9).	—	6·01	—	—	—
Z Musz.-Kr. przez Stryj	—	—	9·06	**1·08**	—
Z Nadbrzezia i Tarnobr.	—	—	—	**6·36**	—
Z Podwołoczysk i Brodów (na dwor. główny)	2·48	**10·02**	9·46	**6·21**	—
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	2·34	**9·46**	9·21	5·55	—
Z Suczawy	**10·11**	—	7·59	12·51	**7·11**
Z Kimpolungu	**10·11**	—	7·59	—	—
Z Radowiec	**10·11**	—	7·59	—	**7·11**
Z Berhomethu n. S. i Czudyna	**10·11**	—	—	—	—
Z Nowosielicy	—	—	—	—	**7·11**
Z Słobody rung. kopalni	**10·11**	—	—	—	**7·11**
Z Husiatyna via Halicz	**10·11**	—	7·59	—	—
Z Buczacza via Halicz	—	—	—	12·51	—
Z Bełzca	—	—	—	5 26	—
Z Sokala	—	—	8·16	5·26	—
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolca, Munkacza, Chyr. i Stan. via Stryj	—	—	9·06	**1·08**	—
Ze Stryja	—	—	**9·52**	—	—
Ze Skolego, Chyr., Stan. i Borysławia via Stryj	—	—	2·38	—	—
Odchodzą ze Lwowa:					
Do Krakowa	3·01	**10·41**	**5·26**	11·11	**7·36**
Do Muszyny-Krynicy na Tarnów lub Rzeszów	—	**10·41**	—	—	—
Do Muszyny-Krynicy na Tarnów (od 1/5 do 31/8)	—	—	—	—	**7·36**
Do Muszyny-Krynicy na Tarnów	—	—	**5·26**	—	—
Do Musz.-Kr. via Stryj	—	—	—	**8·01**	—
Do Nadbrzezia i Tarnob.	—	**10·41**	**5·26**	—	—
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca główn.)	3·20	—	10·16	**11·11**	—
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3·32	—	10·40	**11·33**	—
Do Suczawy	6·36	—	10·36	3.31	**10.56**
Do Buczacza via Halicz	—	—	—	3·31	—
Do Husiatyna via Halicz	6·36	—	—	—	**10·56**
Do Słobody rungurskiej	—	—	10·36	—	**10·56**
Do Nowosielicy	6·36	—	—	—	—
Do Berhomethu n. S. i Czudyna	6·36	—	—	—	—
Do Radowiec	6·36	—	10·36	—	**10·56**
Do Kimpolunga	6·36	—	—	3·31	—
Do Sokala	—	—	9·56	**7·21**	—
Do Bełzca	—	—	9·56	—	—
Do Borysławia via Stryj	—	—	7·21	10·26	—
Do Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu, Chyrowa via Stryj	—	—	7·21	**8·01**	—
Do Stanisł. przez Stryj	—	—	10·26	**8·01**	—
Do Skolego i Chyrowa przez Stryj	—	—	10·26	—	—
Do Stryja	—	—	3·41	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

61)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— Już drugi raz mi to powtarzasz — rzekłam silnie zatrwożona. — Co to znaczy? Wytłómacz mi. — Wolno ci odejść, jak wolno ci było nigdy nie przychodzić. Ale dlaczegóż miłość moja nie może dać ci szczęścia? Jeżeli w tem jest moja wina, to powiedz mi, a postaram się poprawić; lecz nie dręcz mnie temi nieokreślonemi obawami i nie mów mi, że czujesz się najnieszczęśliwszym z ludzi. Jeżeli mnie kochasz, to dlaczego chcesz odejść odemnie? Jeżeli zaś nie, to dlaczego przyszedłeś upokorzyć kobiecą moją dumę? dlaczego wymogłeś na mnie to wyznanie... wydarłeś z duszy tę tajemnicę, którą...

— Kocham cię! — jęknął w głos, a namiętne, stłumione łkanie huraganem bólu wstrząsnęło jego męzką piersią. — Kocham cię więcej niż wszystko na ziemi i na świecie!

Jego rozpacz rozbroiła mnie w jednej chwili.

— O Hugonie! — zawołałam, wyciągając do niego ręce — twoja miłość jest błogosławieństwem mego życia!

On zerwał się na równe nogi i zwrócił ku mnie twarz tak śmiertelnie pobladłą i napiętnowaną bólem, że cofnęłam się przerażona, czując, że serce lodem ścina mi się w piersi.

— Ale jest przekleństwem mego życia! — wybuchnął z goryczą i chwiejnymi kroki skierował się ku drzwiom. W pół drogi jednak zawrócił, porwał mnie w swoje ramiona, dziko, namiętnie przytulił do piersi i jak szalony wybiegł z pokoju.

Zdjęta śmiertelną trwogą, chciałam biedz za nim, lecz czułam, że nogi moje uginają się, że straszliwa jakaś przepaść otwiera się podemną, pochłaniając całe szczęście moje, całe światło i wesele mojego żywota. Nim, zataczając się, doszłam do progu, usłyszałam głuchy łoskot zamykających się za nim drzwi i bezwładna osunęłam się na ziemię, dziwiąc się, dlaczego ze spiekłych oczu moich nie może spaść ani jedna łza, któraby ugasiła ten żar piekielny, rozsadzający mi piersi.

Już go nigdy nie zobaczę... nigdy, nigdy! jęczało zrozpaczone serce moje, uderzając na wpół martwo, niby dzwon pogrzebowy wszystkich moich nadziei.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Trzy dni upłynęły, a o nim nie było żadnej wieści. Byłam pewna, że wyjechał, że uciekł gdzieś przedemną na krańce świata, a ta myśl przyprawiała mnie o tak okropną rozpacz, że dziś jeszcze dreszcz mnie przejmuje na wspomnienie tego, co wycierpiałam wtedy. Popadłam w stan umysłowego odrętwienia, graniczącego między snem a jawą; mówiłam i poruszałam się automatycznie i pod pozorem lekkiej niedyspozycyi przebywałam ciągle samotna w moim pokoju. Tam godzinami całemi leżałam na sofce z przymkniętemi oczyma i konwulsyjnie zaciśniętemi rękami, bez ruchu, bez czucia prawie, świadoma tylko straszliwego jakiegoś ciężaru, który ugniatał mi piersi i pulsowanie skroni, w których pod naciskiem bezładnych myśli krew uderzała jakby młotem, a każda napływająca jej do mózgu fala szeptała mi wciąż jedno: „Jego już nie ma!"

Nigdy nie przyszło mi na myśl zapytać siebie samej, gdzie on się podział? Nigdy najmniejszy cień nadziei, że może powróci jeszcze, nie zaświtał do mojej duszy. Powtarzałam sobie tylko: Wszystko już skończone!

Trzeciego wieczora po jego bytności powziąłam zamiar powrócić do Zollenstrasse, a to nagłe postanowienie przyniosło mi niejaką ulgę. Wspominałam na moją dobrą, serdeczną Idę i starałam się wbrew przekonaniu wmówić w siebie, że komu pozostaje sztuka i przyjaźń ludzka, tego życie nie jest jeszcze odartem z wszelkich pociech. Nie wierzyłam w to jednakże i jak wszyscy ci, co cierpią, byłam przekonana, że ten pomrok głębokiego smutku, który zaciemniał młodość moją, nie przepuści już nigdy jaśniejszego promyka do mojej duszy. Instynktownie jednak pragnęłam jakiejś zmiany, jednem słowem czegoś, coby mnie wyrwało z tej apatyi, jaka mnie ogarniała, paraliżując wszystkie władze moje duchowe i fizyczne; to też przespawszy snem przerywanym kilka zaledwie godzin, wstałam nazajutrz blada jeszcze i osłabiona, ale zdecydowana na duchu, z postanowieniem wyjednania niezwłocznie zezwolenia ojca na wykonanie mego zamiaru.

— Ach! gdybym mogła wyjechać dziś wieczorem jeszcze! — powtarzałam sobie w duchu. — Gdyby mnie zechcieli puścić, nie dręcząc zapytaniami!

Nic mnie bowiem tak nie przerażało, jak te badania, których wiedziałam, że nie zdołam uniknąć.

Z głową napełnioną tym projektem zerwałam się wcześnie z łóżka i ubrawszy się z pośpiechem, spostrzegłam, że brakowało jeszcze półtory godziny do zwykłej pory śniadaniowej i że z wyjątkiem służby wszyscy spali w domu. Co tu robić przez ten czas? Ogarnęła mnie dziwna potrzeba ruchu i czynu. Poranek był jasny, pogodny, drzewa szeleściły rozkosznie w słońcu, kołysane chłodnym wietrzykiem. Zdawało mi się, że balsamiczne ranne powietrze orzeźwi mnie i zahartuje nerwy moje do walki; to też otuliwszy się w ciepły szal i ukrywszy twarz pod gęstym welonem, wyszłam, kierując się w stronę Bulońskiego lasku.

Szybki ruch wywołał u mnie reakcyę fizyczną. Szłam zatopiona w myślach, nie zwracając żadnej uwagi na to, co się działo dokoła mnie; wiem tylko, że orkiestra wojskowa przeszła tuż obok, grając wesołego marsza, którego tryumfalne tony echem grobowem odbiły się w mojej duszy. Gdy nareszcie zawróciłam ku szpalerowi, w bliskości którego mieszkaliśmy, dziewiąta godzina biła na zegarze. Przystanęłam na chwilę, namyślając się, czy wrócić do domu, czy też jeszcze przedłużyć mój spacer, gdy naraz z sąsiedniej ławki podniósł się mężczyzna niepostrzeżony wpierw przezemnie i zawołał:

— Barbaro!

Oh! ten głos! ten pieściwy, męzki, drgający niewysłowionem uczuciem i tęsknotą głos, którego dźwięku nigdy już nie spodziewałam się usłyszeć! Zrazu, z nadmiaru wzruszenia, serce przestało mi bić w piersi, jakby życie zamarło we mnie; potem wszystkie tętna jego uderzyły zdwojoną siłą.

— Hugonie! — zawołałam drżąca. — To ty! Myślałam, żeś wyjechał!

— Wyjechałem, ale w Liege opuściła mnie odwaga. Nie miałem siły rozstać się z tobą, najdroższa!

— Usiądźmy — rzekłam, słaniając się bezsilna o drzewo. — W głowie mi się kręci.

On opasał mnie szybko ramieniem i na wpół omdlałą doprowadził do sąsiedniej, ustronnej ławki.

— Mój aniele! — zawołał stłumionym głosem. — Mój skarbie jedyny! Spójrz na mnie! uśmiechnij się! Powiedz, iż rada jesteś, że mnie widzisz! Och! gdybyś ty wiedziała, jakie piekło katuszy przecierpiałem od ostatniego naszego rozstania! Zdaje mi się, że wieki całe upłynęły od tej chwili.

— I to ty jesteś, Hugonie? Ty... naprawdę?

— Ja, we własnej osobie, najdroższa moja... ja, twój przyjaciel, twój kochanek... twój mąż!...

— I nie opuścisz mnie już nigdy... nigdy?

— Nigdy; chyba że sama odepchniesz mnie od siebie.

Uśmiechnęłam się słodko na to przypuszczenie i jak znużone dziecko położyłam głowę na jego ramieniu.

— Wczoraj jeszcze — rzekł — cała przestrzeń Belgii dzieliła nas. Byłem jak szalony, jak waryat... Serce z bólu pękało mi w piersi. Wzywałem śmierci jak wybawicielki i czułem, że umrę z żalu i tęsknoty, jeżeli choć o krok postąpię dalej.

— Więc zwróciłeś się z drogi?

— Zwróciłem i pędziłem dzień i noc całą bez wytchnienia. Przybyłem do Paryża o świcie i pięć godzin przepędziłem, przechadzając się tu, pod temi drzewami i czekając, aż będę mógł zastukać do drzwi twoich.

— Gdybyś był spóźnił o jeden dzień, już byś mnie nie był zastał; postanowiłam bowiem dziś wieczornym pociągiem powrócić do Zollenstrasse.

— To i cóż z tego? Byłbym pojechał za tobą.

— Tak daleko?

— Okrutna! jak możesz pytać o to? Czyż nie uciekłem od ciebie i nie powróciłem, nie zaznawszy chwili wytchnienia, ani spoczynku od ostatniego naszego spotkania? Byłbym cię odszukał choćby na krańcach świata!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.